

N^o 843

K R E W N I .

J. M. W. B. S. H.

K R E W N I.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

Tom I.



Wydawnictwo J. Zawadzkiego

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1857.



Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 23 Lutego 1857 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

**INSTITUT
PAN LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
Warszawa
Tel. 2-53-53, 25-52-31 w. 42

1576.

<http://rcin.org.pl>

I.

NIE WIEMY, czy któremu z czytelników naszych zdarzyło się przejeżdżać z Chełma do Włodawy okolicą piaszczystą, leśną i nieżyźną, gdzie na środku drogi, między temi dwóma miastami, które każdy zna to z opisów podróźnych, to opowiadania tych co admiirowali cudne położenie pierwszego, i zastanawiali się nad ruchem handlowym drugiego, leży ubogie miasteczko Sawin, o którym pewnie mało kto słyszał, a tém mniej kto widział i poznał. A jednak w to ustronie zapadłe i głuclie musimy zaprowadzić czytelników naszych, gdyż tam rozpoczyna się ten ustęp z dziejów naszego życia, z którym na pożegnanie ich występujemy, i tam pod koniec tej histo-

ryi, którą radzibyśmy zrobić interesującą, a nawet użyteczną, powrócić będziemy musieli.

Sawin składa się z kilkudziesięciu domów, po większej części drewnianych, zabudowanych w wielki kwadrat, przedstawiający niby rynek, na którego środku jest karczma. Pomiędzy temi domami są dość porządne i czyste dworki, mniej więcej podobnej formy, o czterech oknach, ozdobionych wazonikami lewkonii i geranium, o drzwiach we środku, z niskiem z przodu ogrodzeniem z furteczką, za które, tu i ówdzie ogródek, gdzie dominują malwy, floxy i słoneczniki, a z tyłu zabudowania gospodarskie, złożone z niewielkiej stodoły, ze śpichlerza, zamkniętego wielką kłódką, ze stajenki na parę koni, z obórki na kilka krów i innych pomniejszych chlewków.

Mieszkańcy tego rolniczego miasteczka nie wiele sobie łamali głowy na wymyślenie nowych form architektonicznych dla swych siedzib; i jak jeden wybudował, a drugi obaczył, że mu tak dobrze, naśladował więc sąsiada, dając tylko większe lub mniejsze rozmiary pomysłom jego,

w miarę zamożności swęj i potrzeby. Ztąd ta jednostajność, która jednak nie robi przykrego wrażenia, gdyż równie w ozdobach zewnętrznych ogródków, w czystości obejścia, w całości dachów, okien, jak i w porządku wewnętrznym okazuje się wielka rozmaitość, odpowiadająca gospodarności i zamożności tych, co dworeczki te zamieszkują.

Oprócz rynku, jest tam jeszcze parę mniej pokąźnych ulic, a z tych najdłuższa i najludniejsza znajduje się na drodze wiodącej do Włodawy. Ale uliczki te złożone są prawie całkiem z chat pomniejszych, i mają więcej pozór wsi niżle zabudowanej i zamożniejszej, aniżeli miasteczka. Tam mieszkają sami tylko mieszczanie, gospodarze rolni, mający po kilka i kilkanaście morgów gruntu, kiedy w dworkach rynku mieści się cała arystokracja tego miejsca, to jest: burmistrz, poborca i pisarz, nauczyciel elementarny i jego szkoła, a nadewszystko właściciele majątniejsi, mający po dwie, po trzy i więcej włók ziemi, a między tymi dwóch lub trzech herbowych, z których zwłaszcza jeden należał do rodziny wysoko w hierarchii szlacheckiej położo-

nej i niepoślednie w kraju urzęda piastującej. Ale najpiękniejszą ozdobą tego miejsca jest kościół, od wjazdu ze strony Chełma z prawej strony leżący. Kościół to murowany, nie zbyt obszerny i nie bogaty, lecz okrążony zewsząd tak pięknym szeregiem starożytnych lip, tak zielona w około otacza go murawa, w takim zaciszu pod cieniem tych drzew leży cmentarz, niskim obwiedziony parkanem, że miło jest zbliżyć się do tego domu bożego i do tego dziedzictwa umarłych, i pomodliwszy się, podumać tam czas niejaki, przysłuchując się tajemniczej rozmowie, jaką prowadzą między sobą te stuletnie świadki zabiegów, pracy, uciech, namiętności i płaczu tych, których nakoniec pod swe skrzydła dla stałego pokoju i wiecznego przygarnęły odpoczynku.

Probostwo leży obok. Jest to co do formy i rozmiarów prawie taki sam dworek, jak inne, i tém się tylko od nich różni, że ma przed drzwiami wchodowemi ganek na dwóch słupkach oparty, z ławeczkami do siedzenia; że zabudowania gospodarskie są większe; że za niemi jest dość obszerny ogród warzywny i fruktowy, a przed gankiem dziedziniec spory, oparkaniony,

z furtką prowadzącą do kościoła, zasłany cały prześliczną murawą, i w jednym rogu ocieniony tak rozłożystymi i spojonymi w górze trzema lipami, że najżywsze promienie lipcowego słońca nie mogą przebić tego zielonego sklepienia i wygnać chłodu z pod tej rozkosznej altany, gdzie sobie proboszcz często to z książką, to z gośćmi swemi przesiaduje.

Parafia do probóstwa tego należąca, jest obszerna co do rozległości; ale że okolica ta zamieszкана jest po większej części przez unitów, a nawet w samym miasteczku jest ich większa półowa, nie wielkie więc proboszcz ma dochody i poprzestawać musi na tém, co mu daje gospodarstwo, kiedy niekiedy ślub jakiego w okolicy zamieszkałego szlacheica, czasem chrzciny nowego ziemi tej obywatela, a najczęściiej pogrzeb, którego z katolików, mieszkających w miasteczku, co, jak tam zwykle mówią, poszedł ochłodzić się pod lipy i z dawnymi pogadać sąsiadami.

Ale ta szczupłość dochodów nie odbierała humoru księdzu Maciejowi Zielenkowskiemu, który już lat kilkanaście w parafii tej mieszkając, przestawał zawsze na tém, co mu Bóg dał, u-

trzymywał jak mógł w porządku kościoł i dzielił się jeszcze z biednym, jeżeli który stanął przed jego progiem i widokiem prawdziwej nędzy do serca jego przemówił. Był to bowiem człowiek w gruncie dobry i uieczivy, a choć czasem gderał, choć nieraz moralizował tych, którym się chciało płakać, zawsze jednak w końcu zmięczył się, widząc wielką jaką boleść, i albo pomógł oddając ostatni grosz jaki miał, albo niósł pociechę religijną, umacniając duszę cierpiącą w wierze i ufności w miłosierdzie Tego, który jeżeli dziś zasmuca, to jutro niespodziewaną przygotowuje ulgę i pocieszenie. To też nikt się nie zrażał jego zmarszczonem czołem, nasuniętemi brwiami i gburowatym głosem, z jakim z początku przyjmował tych, co do niego przychodzili. Owszem, wszyscy znali jego serce, a morały i ofuknienie nawet, bez którego się czasem nieobeszło, przyjmowali z cierpliwością i pokorą. To jego usposobienie poszło ztąd, że ksiądz Zielenkowski znał doskonale swoich parafijan, wchodził w ich życie, w ich położenie, widział ich wady i nałogi, wiedział dobrze o sąsiedzkich ich nienawiściach, o sprawach jakie ich dwoiły, o

namiętnościach, jakie zagnieżdżały się w ich sercach, a ztąd przewidywał klęski, jakie im zagrażać mogą. Nim się tedy co złego stało, wzywał ich do siebie, moralizował i surowo upominał, gdy kto tłómaczył się nieprawdą lub rady jego i przestrogi przyjmował z dąsaniem lub lekceważeniem; a gdy przysłała bieda, klęska przepowiedziana ziściła się, i nieszczęśliwy stawał przed proboszczem prosząc o pomoc; albo radę, wtedy zawsze zaczynał od tego, że go sfuknął, że się okrutnie zmarszczył i nie chciał ni by słuchać, mówiąc: »sameś sobie winien, mówiłem ci, ostrzegałem, ale co to wam gadać. Ja swoje, a ty swoje. Teraz masz. Dobrze ci tak. Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg. Idź sobie po radę i pociechę gdzieindziej. Nie słuchałeś wtedy, teraz już po niewczasie.» Zawsze się jednak na tém kończyło, że serce wyszło na wierzch, i że nieraz płakał z temi, których widział przed sobą zboliałych i płaczących. Wszakże rad swoich lubił udzielać nie tylko tym, od których sądził się wyższym nauką i doświadczeniem życia, ale i takim, którzy się mieli za oświeconych, za znających świat i ludzi, prawili nieraz

verba veritatis równie co do ich życia, ich stosunków familijnych, wychowania dzieci, a nawet co do ich interesów majątkowych. Niektórzy z takich przyjmowali uwagi księdza z należytą względnością; widzieli bowiem, iż w gruncie ma na celu ich własne dobro i interes ich dobrze zrozumiany; ale inni, zarozumialsii, lub czujący się rzeczywiście do wad i win, które im wytykał, nazywali go wścibskim i unikali jego moralów, tém bardziej, im bardziej czuli że ma racją, i że to, co przepowiada, w rzeczy samej stać się może.

Przy tém wszystkiém był on spokojnego, a nawet wesołego usposobienia, i gdy czasem kto wieczorem do niego przyszedł, a zwłaszcza latem pod lipy, lubił pogawędzić o tém co się działo w miasteczku i w okolicy, a niekiedy pośmiać się z możniejszych, którzy niesłuchają jego ostróg, nazywają go wścibskim, gdyż o tém doskonale wiedział, a tymczasem jak głupie owce lecają w ogień, gdzie kudły swe osmala. Nie był on wcale uczonym, chociaż miał kilkanaście dobrych książek i przeczytywał je po raz drugi i trzeci, gdy był wolnym od zajęć w parafii i od

zabiegów gospodarskich, którym oddawał się chętnie i z wielką pilnością. Ale ksiądz Zielenkowski był trochę poeta, i wierszyki okolicznościowe składał często i z łatwością. Ulotnych tych rymów, któremi wieszował imienin, nowego roku i wesołego Alleluja; przez które wzywał czasem sąsiadów, z któremi bliżej żył, na obiadek, na podwieczorek, lub zimą na maryasza lub warcaby; przez które wstawiał się do burmistrza, to za nauczycielem swój szkoły, aby mu regularnie wypłacano pensją, to za innym jakim uciśnionym, który wzywał jego pośrednictwa lub protekcyi; przez które w nagłym jakim razie prosił którego z możniejszych swych parafijan o furkę siana dla swych krówek, lub o jaki korcek owsa dla swych koników, zebrała się już była w owym czasie, o którym mówimy, tak znaczna liczba, że gdyby się był znalazł jaki wydawca, mielibyśmy zupełnie takie dwa tomiki, jakie już w poezjach Molskiego, z wielkim pożytkiem dla literatury, posiadamy.

Ksiądz Maciej Zielenkowski miał już z pięćdziesiąt lat; był słusznego wzrostu, chudy, wypukłych pleców, ręce miał żylaste i czerwone,

któremi chętnie giestykulował, a stopy duże, które prosto przed sobą i dość niezgrabnie wyciągał. Włosy już siwe i nisko przystrzyżone pokrywały już jego dużą głowę, czoło miał niskie i marszczące się, brwi wielkie, spadające na oczy, co dawało twarzy jego śniadój i niezbyt ujmujących rysów wyraz surowy, który na pierwszy rzut oka odstręczał i tém mniej pochlebne dawał wyobrażenie o łagodności jego charakteru, ze i w głosie nie było słodczy, ale owszem jakaś twardość i niby gburowatość. Wszystko to jednak nikto przy bliższém jego poznaniu. Gdy się rozrzewnił, łagodniały jego rysy, czoło się wygładzało i podnosiło, brwi rozsuwały się i pozwalały widzieć głębokie uczucie w jego oczach, często łzą zroszonych. Gdy się znowu rozgadał i rozweselił, cała twarz jego piękniała niejako, a uśmiech czasem filuterny, czasem dobroduszny pociągał każdego do ufności i zniewalał do przyjacielskiego wylania się. Ksiądz Maciej latem i zimą chodził zawsze w czapce wysokiój, rogatój z siwym barankiem, w długim surducie z grubego sukna, a w święto w zwykłej księżej sutanie z pelerynką; trzeinę miał zawsze w ręku, a choć

nie dbał o elegancją w zwierzchniém swém odzieniu i obuwiu, widać jednak, że do czystości wielką przywiązywał wartość, gdyż ta obwódka płócienna, która okręzała jego halstuch pod brodą, była zawsze czysta i jak śnieg biała. Równie starannie utrzymaną i składaną była wszelka bielizna kościelna. Nie wziął nigdy na siebie zbrudzonej i zmiętej alby, a komże, w których występował czy na ambonę, czy przy chrzcinach, czy za trumną choćby najbiedniejszego ze swych parafijan, świadczyły, że na nie nieżałowano mydła, i że pod pilném i umiejętném były żelazkiem.

Wikaryusza ksiądz Maciej nie miał. Zbyt ubogie było probóstwo, aby go na taki ekspens stało. Ale za to wierną miał pomoc i posługę gorliwą, równie w gospodarstwie swém, jak i w kościele w całej rodzinie Dudzinowskich, która od lat kilkunastu na probóstwie mieszkała, i zespoliwszy się ze wszystkimi interesami księdza, dzielając serdecznie wszystko dobre i złe, które mu się wydarzało, starała mu się dogadzać i we wszystkiém umniejszać kłopotów. Rodzina ta składała się z męża, żony i jednego chłopca.

Błażej Dudzinowski był prawie równego wieku z proboszczem. Przez zapatrywanie się na swego pryncypała, przejął on jego ruchy, jego chód, sposób mówienia, a nawet wypukłość pleców, a donosząc zawsze jego ogromne bóty, rogatę czapki i nie jeden surdut, gdy się już wycierał i zagrażał dziurami, był w oczach wszystkich *alter ego* księdza Macieja, i nieraz zdaleka gdy szedł szerokimi krokami i trzymał przed sobą laskę, starannie z kory ostruganą dla większego do trzciny proboszczowskiej podobieństwa, za niego był brany. Pan Błażej rozmaite pełnił funkcyę. W kościele był on zakrystyanem i organistą, w gospodarstwie był ekonomem i gumiennym, a kiedy niekiedy w razie potrzeby, zwłaszcza gdy ksiądz proboszcz jechał do chorego, aby go na ostatnią podróż umocnić, lub gdzie nowo narodzonego chrześcijanina do kościoła Bożego wprowadzić, pełnił sam obowiązek woźnicy. I wtedy, gdy mieszkańcy Sawina postrzegli na bryczce dwie rogatę czapki, dwa ciemne surduty i dwoje wypukłych pleców, jedno na siedzeniu, a drugie na koźle, wiedzieli dobrze, że ktoś umiera albo się narodził, a ztąd do smutnych lub wesołych roz-

mów mieli po chop i materyą. Skoro świt, już pan Błażej był na nogach; obszedł całe gospodarstwo, dopilnował nakarmienia koni i bydła, wyprawił dwóch parobków w pole, gdy była pora i potrzeba, i zajrzawszy do każdego kąta, szedł pod lipy, gdzie ksiądz proboszcz odmawiał pacierze, aby mu zdać raport, jak całe obejście zastał i jak wczorajsze jego dyspozycye wykonał. Potem zbudziwszy syna swego Jasia, trzynastoletniego i przytomnego chłopaka, szedł z nim razem do kościoła. Gdy uprzątnęli dom boży, pozamiatali wszędzie i pościerali kurzawę, pan Błażej przygotowawszy w zakrystyi wszystko, co do mszy świętej, która się codziennie o godzinie wpół do ósmej odprawiała, było potrzebnem, szedł wraz z synem na śniadanie, a potem skończywszy już funkeyą zakrystyana, oddawał się cały urzędowi ekonoma. Przejrzał więc śpichlerz, wydawał co było komu potrzeba, notował każdy ekspens dla podyktowania później księdzu i zapisania w książkę rachunkową, pilnował młócenia, lub jechał w pole w miarę pory roku i rodzaju zajęcia gospodarskiego, jakie ona nastęczała. W niedzielę i święto wstawał jeszcze raniiej,

gdyż z gospodarstwem musiał się ułatwić od razu, a resztę dnia był już tylko usłudze kościoła oddany. To też gdy się zbliżała godzina jedenasta, o której ksiądz proboszcz punktualnie kończył kazanie i wychodził z summą, pan Błażej, który już wszystko do ceremonii téj przygotował, i ubrał już w czyste komeszki dwóch chłopaków ze szkoły, którym z kolei słuzenie do mszy przypadało, wymusztrował ich należycie, nieraz to tego, to owego pociągnawszy za ucho, gdy się który gapił i przestroóg jego nie słuchał, stawał co chwila we drzwiach zakrystyi i poglądał ku ambonie, aby z gorętszych ruchów księdza i z podniesionego głosu jego mowy zrobić ów naturalny wniosek, że się domówienie zaczyna. Wtedy brał z powagą laskę, na której był okręcony stoczek, ściągał za kutas lampę wiszącą przed wielkim ołtarzem i zapaliwszy sześć świec, schodził ze stopni, zatrzymywał się zawsze w jedném i témże samém miejscu, obracał laskę, przygaszał nogą stoczek, i stawiał przy drzwiach zakrystyi. Przy nim był Jaś, także w najparadniejszą ubrany komeszkę, i który chociaż w takie dni do mszy nie służył, ale sam

tylko miał przywilej stawać z trybularzem, jako baczniejszy i lepiej z manipulacją jego obeznany. Wtedy pan Błażej upomniawszy jeszcze raz syna, aby na wszystko w zakrystyi dawał baczenie, sam udawał się do wypełnienia głównego swego obowiązku, od którego tytuł organisty nosił. I trzeba było widzieć, z jaką pewnością doświadczonego i pewnego sztuki swój artysty siedł przez kościół, z jaką impozycją poglądał na obecnych, którzy się przed nim rozstępowali, jak szybko mimo wieku wbiegał na schody, i z jaką miłością poglądał na klawisze i na dudy, które zdawały się tylko oczekiwać jego ręki, aby się odezwać głosem, mającym podnieść pobożne uczucia obecnej w kościele rzeszy. Był on tu w swoim żywiole, i gdy usiadł, gdy obu rękami zaczesał najprzód włosy, potem potarł dłonie, potem uśmiechnął się do klawiszów, rzekłbyś, że to który z naszych fortepianistów, którzy siadają do instrumentu z tém przekonaniem, że pod palcami ich ożyje zamarły Liszt, i nieśmiertelny Szopen wstanie z grobu jak żywy. O grze jego i śpiewie nie ma już co i mówić, i czytelnicy domyślą się zapewne, że człowiek taki, dla chwały

Bożej i utrzymania honoru parafii, nie mógł założyć rąk, a témbardziej głosu, i starał się usilnie, aby ceremonia odbyła się okazale i z uroczystością godną tego miejsca, gdzie proboszcz taki, jak ksiądz Maciej Zielenkowski celebrował, a on jako druga po nim osoba, odpowiadał mu głosem organów i donośniejszym jeszcze głosem własnych swych piersi celebry tój dopełniał.

Ale jakkolwiek pan Błażej nieocenionym był dla proboszcza człowiekiem, miał i on wadę, świadczącą o ułomności natury ludzkiej. Ksiądz Maciej mógł się wszędzie na niego spuścić, w każdym zdarzeniu zaufać jego czujności i przywiązaniu, mógł go posłać w pole, na sianokos, do lasu, wyprawić do odleglejszych nawet parafijan w interesach choćby najdelikatniejszych; ale po nic w świecie nie mógł go posłać na miasteczko. Jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak dla pana Błażeja wszystkie drogi w Sawinie prowadziły przez karcznię. A skoro raz wpadł w otwartą paszczę tój Scylli, zawsze się jakoś zasiedziało, zawsze się zagadało to z tamtejszym propinactorem, to z którym z parafijan, równie podległym tym samym natury naszój zboczeniom.

A choć go sumienie gryzło, choć odwróciwszy się do kąta, dawał sobie ze złości policzki, pociąg był jednak tak silny, że czas na spełnienie interesu, za którym był posłany, przemijał, a pan Błażej zamiast wrócić do proboszcza i zdać raport z poselstwa, przemykał się cichaczem, aby niewidziano, że się nie trzyma na nogach. Tak zygzakiem i za pośrednictwem to płotu, to parakanu, dopadł stajenki i wiązki siana i tam już dostawszy się chrapał szczęśliwie póty, póki go żona nieodszukała. Nigdy wszakże gorliwszym i czynniejszym nie był, jak po takim upadku, którego się niezmiernie wstydził. Dla tego to proboszcz patrzył przez szpary na tę słabostkę człowieka, bez któregoby się już obejść nie mógł, starał się tylko usilnie podawać mu jak najrzadziej okazyje do złamania tego uroczystego słowa, jakie dawał jemu, żonie i sobie samemu, że go już i sam diabeł powrozem do karczmy nie zaciągnie. Tak wszakże słowa tego dotrzymywał, jak skrytykowani autorowie dotrzymują przyrzeczeń, jakie sami czynią, że wszystkie pióra i kałamarze powyrzucają za okno.

Żona pana Błażeja, Agnieszka, którą krócej

daleko scharakteryzujemy, była gospodynią domu. Wprawdzie i ona nie była bez ale, gdyż gospodarowała za nadto głośno, była prędką, złą i kłótniwa; ale ta lewa strona jej usposobienia kompensowała się tém, że była oszczędna, dobra kucharka, że robiła doskonale rosół i sztukę mięsa, że barszcz przyprawiała tak, jakby żaden kucharz nie potrafił, a nadewszystko, że lubiła niezmiernie czystość w kuchni i w pokojach, w naczyniu kuchenném i kredensowém, a szczególnie w bieliznie, równie księdza proboszcza jak i kościelnój. Były to ważne przymioty, już nie mówiąc o wierności i przywiązaniu, dla których proboszcz znosił cierpliwie jej gderania, jej hałasy, jej fochy, których nawet jemu nieszczędziła. A chociaż czasem pan Błażej podnosił głos także i uczył ją mores, najeczęściej jednak oba natuliwszy na uszy jednakowe swe czapki, ustępowali z placu, i wtedy krupiło się na Jasiu, jeśli się niebacznie nawinął na ten moment, w którym matka nie miała na kim spędzić złości, co ją trawiła. Obity chłopak najniewinniej szedł z płaczem do ojca i do proboszcza, a ci widząc, że już po burzy, wracali do domu, i zastawali

już Agnieszkę krzątającą się spokojnie, witającą ich z uśmiechem i przepraszającą proboszcza, że się uniosła. Męża pani Błażejowa nie przepraszała nigdy, trzymając się w tej mierze zasady większej połowy żon naszych, które utrzymują, że zawsze mają rację.

Najbliższym sąsiadem, a można powiedzieć serdecznym przyjacielem proboszcza, którego sturaliśmy się dać poznać szczegółowo czytelnikom naszym, a to ze względów, jakie sami później uznają za słuszne, był pan Sebastian Zabuzski, ów szlachcic wysoko skoligacony, o którym wyżej wspomnieliśmy. Niedaleko od kościoła, od wjazdu do Sawina ze strony Chełma, leżał jego dworek i całe obejście, stanowiące najznaczniejszy w całym miasteczku folwarczek. Dworek był taki jak i inne, silniej tylko i staranniej oparkaniony, z bramą wjazdową dobrze zamykaną, z dziedzińcem większych rozmiarów, i mającym z boku lamusik z grubych belek, z dębowymi drzwiami, pod którym znajdował się loszek murowany i sklepiony. Ale za to stodoła, śpichlérz, obory i stajnie przenosiły wielkością dom mieszkalny i okazywały staranniejszego i

zamożniejszego od innych gospodarza. Jakoż pan Sebastyan miał w dziedziczném swém posiadaniu cztery włoki dobrego gruntu, z półtóry włoki łąk pięknych i korzystnie położonych, a nadto kilkadziesiąt morgów opałowego lasu, który na potrzeby domowe najzupełniej wystarczał.

Mająteczek ten, opatrzony dostatecznym remanentem i stosowną liczbą rąk do uprawy roli i zwiezienia jej plonów potrzebną, wystarczał mu na życie niezależne, tém bardziej, że to był szlachcic dumny, który na tém zakładał swój honor, aby nikogo o nie nie prosił i nikomu nie był nie winien. Tak więc się rachował, tak przymierzał potrzeby swe i wydatki do przychodu, że mu zawsze wystarczała na opłacanie i dobre wykarmienie służby męskiej i żeńskiej, na której gospodarstwo jego leżało, na dobrą łyżkę stawy i kawałek mięsa dla niego, a i dla gościa, jeśli się zdarzył, na odzienie skromne, ale całe i czyste, a nawet na utrzymanie w Hrubieszowie dwóch synków, którzy właśnie w tym roku, od którego opowiadanie to rozpoczynamy, 3-cią klasę szkoły tej powiatowej kończyli.

Pan Sebastyan miał już pięćdziesiąty siódmy rok. Miernego był wzrostu, ale silnej budowy i żelaznego zdrowia, które umiarkowane życie, surowe obyczaje i ruch ciągły na otwartem i świeżem powietrzu utrzymywały w stanie kwitnienia i rokowały mu późną i czerstwą starość. Gdy mu zazdroszczono wielkiej siły w rękach i w nogach, jaką posiadał, doskonałego apetytu, z jakim sprzątał skromne i proste obiady swego potrawy, odpowiadał zawsze: »Umiem być starym, mospanie, i to cały mój sekret. Wiem wiele mam lat, o czem inni zapominają. Nieużywając nigdy wszystkich sił, jakie mam, ekspensując tylko dochód, nie tykam kapitału i tym sposobem przygotowuję sobie wielkie uciechy małym kosztem, a unikam wielkich boleści, poświęcając małe rozkosze. Inni w moim wieku, poczuwając w sobie reszty sił młodych, durzą się, że odmłodnieli i chwytają za przynętę rozkoszy, którą im stawia natura często na to tylko, aby się ich prędkiej pozbyć. Ja mospanie, nie zapominam o tém, że życie nasze ma dwa dzieciństwa, ale nie ma dwóch wiosen. Przynętem Pan Bóg ustrzegł mię od dwóch naj-

» większych nieprzyjaciół zdrowia i długiego ży-
 » cia t. j. od wielkiej nędzy i od wielkich do-
 » statków. Pierwszy bowiem rujnuje przez to,
 » że jest wszystkiego za mało, drugi przez to,
 » że jest wszystkiego za nadto. Otrzymałem w u-
 » dziale mierność, która jest matką pokoju, swo-
 » body i zdrowia. Jeżeli więc przychodzi potrze-
 » ba nagła i nieodbita, mogę jej zadość uczynić,
 » a gdy rozum się przyćmi i serce ogarnie poku-
 » sa, znajduję nieprzewyciężoną przeszkodę w nie-
 » możliwości. Chcesz Waszeć mieć tak silne ręce
 » jak moje i nogi tak wytrzymałe i niezmordo-
 » wane, dajże im robotę, żeby nie zgnuśniały i
 » nie zakłęsyły; chcesz tak jak ja zrepetować wa-
 » zę barszezu i półmisek kaszy i zrazów, to pa-
 » miętaj o tém, że człowiek karmi się chlebem
 » dwa lub trzy razy na dzień, a powietrzem w ka-
 » żdej sekundzie życia. Nie siedź więc w izbie
 » zaduszonej, ale szukaj świeżego oddechu na po-
 » lu, na łące i w lesie, a tam znajdziesz siły i
 » apetyt.”

Takie były mniej więcej zasady pana Seba-
 styana, które w rozmaitej formie lubił wyrażać
 w rozmowie, i od których bardzo rzadko i to pod

jakimś szczególnym przymusem odstępował. W ogólności był to człowiek niezmiernie panujący nad sobą. Przy tak ogromnej sile, jaką w nim admiirowano, gdyż nabrawszy w garść orzechów laskowych rozmiądział je tak, że mało który został nierozgnieconym, przy prędkości i gniewliwości wrodzonej, nie uniósł się nigdy do tego stopnia, żeby albo sługę, albo które dziecko uderzył. Jeśli już musiał ukarać, karał wtedy gdy ochłonał, i to nigdy ręką, ani laską, ale giętkim i nieszkodliwym prętem lub różgą. Kiedyś, w młodszych latach, mało nie zabił jakiegoś drągała policzkiem, który mu wymierzył, i to go tak przestraszyło, że odtąd w każdym przystępie gniewu ta chwila stawała mu się obecną.

Pan Sebastyan, który żadnej nie znał choroby i ciąglem cieszył się zdrowiem, nie był jednak ani pełnym, a tém bardziej otyłym. Owszem, oprócz pleców, które miał dość szerokie, wydawał się szczupłym w swęj budowie; ale muskuły jego były tak stężone, takiej mocy, że dotknąwszy się jego ramienia wyżej łokcia, zdawało się, że się dotyka czegoś wyrobionego z bronzu lub z żelaza. Trzymał się prosto, chodził z mocą, pe-

wnością i szybko; mówił z powagą, zwięźle i stanowczo. Twarz miał dosyć czerstwą, choć pozbawioną rumieńca; a ten koloryt jej zdrowy i męzki tém więcej uderzał, że wysokie jego czoło było gładkie i niezmiernie białe. W niebieskich oczach jego, patrzących prosto i śmiało, był wyraz rozumu i zastanowienia, a siwe już włosy i siwiejące zawiesziste wąsy, dodawały powagi i wdzięku rysom jego, foremnym i znaezającym. Był to typ prawdziwie płoskiego i szlacheckiego oblicza, z którego dziś nawet wnieść było można, że w młodym wieku musiał być bardzo przystojnym, a nawet pięknym mężczyzną. Nosił się niezmiernie skromnie, ale ubraniem swém nie udawał ani uboższego, ani bogatszego niż był w istocie. Codzienném jego odzieniem była kapota zapinająca się na dwie strony, ze stojącym, odkładanym kołnierzem, z sieraczkowego sukna pomiernój ceny. Na zimę miał takie same ubranie podszyte lisami. Płaszcz, także sieraczkowy, służył do drogi i na słołę. Latem nakrywał głowę białym, niedrogim kapeluszem, a w zimie czapką z odwijanemi klapami z siwego baranka, któremi w czasie wielkiego

zimna mógł osłonić twarz i uszy. Jedną tylko miał porządną bardzo suknią, co do kroju taką samą, jak sieraczkowa kapota, ale z czarnego i cienkiego sukna. Tę nadziewał tylko w czasie wielkiej jakiej uroczystości, na Wielkanoc, na Boże Ciało i w ogóle w czasie processyi, gdy niósł baldachin nad ks. proboszczem lub w czasie jakiej ważniejszej wizyty, którą musiał oddać.

Ojciec jego był daleko majątniejszym; ale przez różne okoliczności stracił fortunę swą jeszcze za młodu, tak, że P. Sebastian przywykł do biedy, i po śmierci ojca i po spieniężeniu ostatków majątku tyle tylko dostał, że mógł kupić sobie ów folwarczek w Sawinie, w którym osiadł. Stryjeicznych swych braci, możnych co do fortuny, wysoko położonych co do znaczenia, gdyż jeden z nich był kasztelanem, a drugi referendarzem, znał tylko z daleka i do żadnego z nich po nie się nigdy nie udawał.

Okolica Sawina jest gniazdem rodziny Jelewskich. Było ich tam dwóch rodzonych braci i trzy siostry, trzeci zaś Paweł, ich stryjeczny. W kilka lat po zamieszkaniu swém w tém miejscu, gdy się już P. Sebastian zagospodarował, opatrzył w do-



bytek i wszystkie porządki w domu potrzebne, gdy postrzegł że wystarczy i dla niego i dla kogoś jeszcze, z kimby się pracą swą i losem podzielili, obejrzał się za kobietą, którąby mógł pokochać i do domu swego wprowadzić jako pomoc, ozdobę i pociechę. Za pośrednictwem proboszcza, z którym zaprzyjaźnił się zaraz, skoro ten parafiją swą objął, poznał się z Jelewskimi. Oba rodzeni bracia dziwnie mu się nie podobali. Stryjecznego ich Pawła nie było już. Miał to być człowiek z sercem, ale hulaka, trochę szuler i utracysz. Nadwerężywszy swoją fortunę, oddał resztę pod zarząd stryjecznych braci, sam wstąpił do wojska, wyszedł z pułkiem w głąb Rossyi i tam gdzieś przepadł bez wieści. Starszy z dwóch tu zamieszkałych, P. Piotr, był fanfaron i udawał paua; drugi Marcin, był znowu obrzydły skąpiec i łapigrosz. Najmłodsza siostra Herminia, była wprawdzie ładna i nie głupia, ale jeszcze zbyt młoda, za nadto się nadstawiająca, za nadto pragnąca się stroić i patrząca wyżej, niżby w miarę malutkiego posagu swego patrzeć była powiuna; najstarsza zaś Teresa, poezciwe serce, pełne dobroci i czułości, opłakująca rzewnymi łzami każde nieszczę-

ście, komukolwiekby się przytrafiło, miała wiele bardzo zalet moralnych, ale na nieszczęście była brzydka, mała i ułomna. Średniej Maryanny nie było wówczas przy rodzinie. Miała ona gdzieś w Lubelskiem przyjaciółkę, przy której wolała bawić. Przy takich okolicznościach zapoznanie się to i powtórzone kilkakrotnie odwiedziny na nie się nie zdały, i P. Sebastyan postanowił zaczekać, azali przypadek nie nasunie mu na oczy kogoś takiego, coby i swemi związkami rodzinnymi i swoją osobą lepiej jego wymaganiom i oczekiwaniu odpowiedział. W parę miesięcy takiego oglądania się na prawo i na lewo, odebrał raz od proboszcza zaproszenie na podwieczórek. Wyszędłszy od siebie, postrzegł przed probostwem powóz P. Piotra Jelewskiego. Bardzo mu to było nie miło, bo chciał się od nich całkiem usunąć, i już miał zamiar wrócić. Ale Pan Bóg zrządził inaczej. Proboszcz postrzegł go z daleka, wyszedł na przeciw niego, i dawał mu znaki rogatą swą czapką, że go wzywa. Trudno już było cofnąć się i P. Sebastyan poszedł. W rzeczy samej zastał pod lipami P. Piotra Jelewskiego, P. Piotrowę, pannę Teresę i jeszcze jakąś młodą osobę, której nie

znał. Nie mówiono mu wcale kto to taki, rozmowa się toczyła, ale P. Sebastyan nie mógł oczu odwrócić od tej młodej panny, której twarz, głos i ułożenie od razu mu jakoś przypadły do oka i do serca. Nie była zbyt młoda, miała rysy formne, wejrzenie łagodne, głos miękki i słodki, a wiele razy się odezwała, odezwała się rozumnie i poczciwie. Wszystko to bardzo mu się podobało. Przysunął się więc do niej, zaczął z nią rozmawiać, i w ciągu rozmowy pokazało się, że to jest trzecia panna Jelewska, owa Maryanna, której nie znał. Z razu przykro mu to było, bo nie czuł żadnej sympatyj do całego tego gniazda. Ale gdy w noce zaczął myśleć i rozmyślać, gdy panna Maryanna stała mu ciągle przed oczami, tak, że ani rusz wyrugować jej nie można było z myśli, po kilku dniach takiego rozmyślenia i walki, pojechał do P. Piotra raz, potem we dwa dni drugi raz, potem zaczął jeździć codziennie, i nareszcie po dwóch miesiącach, proboszcz pobłogosławił mu przy ołtarzu, P. Błazej na całe gardło zaśpiewał *Veni Creator* i panna Maryanna, którą P. Sebastyan całą mocą swego energicznego serca pokochał, którego ona pokochała całą duszą, pełną tkliwo-

ści, oddania się i poświęcenia, weszła do skromnego dworku męża, aby się stać jego światłem, pociechą i uszczęśliwieniem. P. Sebastyan miał wówczas czterdzieści dwa lat, żona zaczynała dopiero rok dwudziesty piąty. Mimo tę różnicę wieku nie było szczęśliwszej pary. Ale szczęście to trwało tylko lat kilka. Maryanna urodziwszy, P. Sebastyanowi dwóch synów, zaczęła upadać na siłach. Wprawdzie wielka miłość do męża i dzieci umacniała ją tyle, że obowiązkom swym żony, gospodyni i matki czyniła zadość. Ale to wysilenie wyczerpywało ję życie zwolna i stopniami, tak, że w siódmym roku ich pożycia, w rocznicę tego dnia, kiedy weszła do domu męża, którego twarz jaśniała wówczas radością i nadzieją długiego szczęścia, wyniesiona była na cmentarz, na który prowadził ją proboszcz, który od płaczu i łkania nie mógł śpiewać pieśni pogrzebowej, a za nią szedł mąż, który wprawdzie nie płakał, ale na którego skamieniałej i mileżącej twarzy, ci wszyscy, którzy go znali czytali więcej niżby łzy i szlochanie powiedzieć mogły.

Nieszczęście to człowieka, którego wszyscy szanowali, choć mało kto znał go zblizka, zrobiło

wielkie wrażenie. Ludzie prości, niezaprzątnieni całkiem doczesnymi interesami, nieprzesiłekli egoizmem, nie goniący to za zyskiem, to za jaką brudną uciechą, to za jaką zdobyczą próżności, wówczas kiedy mimo ich przechodzi pogrzeb, i nieoswojeni tak z tym widokiem, jak mieszkańcy wielkich miast, uczuli mocno tę klęskę, dotyczącą człowieka, który według ich mniemania niczem na nią nie zasłużył. To dawało im tak wiele do myślenia, że się nie prędko uspokoili. A gdy który jeszcze przechodząc wieczorem mimo cmentarza, obaczył P. Sebastjana klęczącego nieruchomie, jak posąg, przy grobie żony i mającego po jednej i po drugiej stronie dwóch synków, klęczących ze złożonemi rączkami, ślicznych i zamysłonych, jak pokutujące aniołki, nie mógł się wstrzymać od łez, i wróciwszy do domu lub spotkawszy jakiego sąsiada, rozpowiadał co widział i znajdował nieraz takie słowa, jakichby się nikt po jego ukształceniu i sposobie życia nie spodziewał. Nie tylko więc przykład życia i postępowania P. Sebastjana był użytecznym dla miasteczka, ale nawet jego klęska podała nie jednemu powa-

źniejsze myśli i do zastanowienia się nad sobą przywiodła.

Nikt wszakże nieszczęścia tego głębiej nie uczył i obfitszemi nie oblał łzami, jak siostra zmarłej, Teresa. Zaczynała ta kobieta, upośledzona powierzchownie, skrzywdzona przez braci, traktowana przez bratową i jej dzieci tak, jak to najczęściej osoby próżne i zepsute traktują istoty bezbronne i niepokaźne, mimo przykrości jakich doznawała, oddana była całkiem na usługi rodziny i kochała ją miłością bezinteresowną i nieodpłacaną. Jedną tylko Maryanna znała całą wartość tego serca, które wszyscy inni napełniali goryczą i upokorzeniem. To też Teresa lgnęła do niej ze szczególnym przywiązaniem, w ostatnich jej chwilach nie odstępowała od jej łóża, a po powrocie z ementarza, widząc, że P. Sebastyan był zupełnie złamany, że chodził tylko w milczeniu, lub siedział bez ruchu po dwie i trzy godziny, tak iż zdawał się zupełnie zapominać o sobie, o dzieciach i o gospodarstwie, postanowiła już nie opuszczać tego domu, który Bóg tak ciężko dotknął, i stać się matką prześlizanych chłopczyków, których serdecznie pokochała, nie tylko przez pamięć siostry,

ale i dla nichże samych. Nie więc P. Sebastyanowi nie mówiąc, zostawiając go jego myślom i bolowi, a potłumiwszy jak mogła, swój własny, objęła cały zarząd domu, ulokowała się w pokoju dzieci, które wzięła pod swój kierunek, w gospodarstwie wydawała dyspozycye i starała się dójrzeć wszystkiego, w miarę sił i czasu, a gdy po kilkunastu dniach postrzegła, że P. Sebastyan nie mówił, i nie tylko *tacite* na wszystko pozwalał, ale owszem zdawał się z wdzięcznością na jej zajęcia i usilność poglądać, posłała po resztę manatków swych panińskich do P. Piotra, i tym sposobem na stałe już zamieszkanie instalowała się w osieroconym po siostrze domu.

Przyjaźń proboszcza, czas, ten najlepszy lekarz wszelkich ran serca, to uspokojenie, jakie mu dawał widok gorliwości i poświęcenia Teresy, wreszcie hartowna natura P. Sebastyana, przyprowadziły go po kilku miesiącach do dawnego stanu. Zrobił się on wprawdzie poważniejszym jeszcze, surowszym dla siebie i mniej mówiącym, ale odzyskał dawną działalność i oddał się znowu zwykłym swym zajęciom. Wdzięczny Teresie za usługę, jakiej od niej w najboleśniejszej chwili doznał,

uprosił ją, żeby nie opuszczała już do śmierci jego domu, zostawił jej zarząd wewnętrzny i opiekę nad dziećmi i zdaleka tylko nad tem czuwając, wspierał ją swoją powagą i mocą. W takim stanie były rzeczy aż do tej chwili gdy potrzeba było chłopców odwieźć do szkół. Po naradzie z proboszczem, zdecydował się oddać ich do Hrubieszowa, jako do miejsca które było najbliższemu, najtańszemu i gdzie proboszcz miał znajomego i przyjaznego sobie nauczyciela, którego szczególnej opiece dzieci powierzone być mogły. Ale gdy przyszedł ten fatalny moment, szczególnie dla P. Teresy, która z zapuchłemi od płaczu oczami co chwila tuliła do siebie to Eugeniuszka, to Ignasia, a ci nawzajem rozplywając się we łzach rzucali się do nóg cioci, jakby szli na stracenie i ratunku jej wzywali, P. Sebastyan, niekontent z takiego rozpieszczenia swych synów, w których rad był swój własny hart widzieć i moc swą zaszcześcić, lękając się, aby takie sceny, rozmiękczające ich naturę, nie powtarzały się w każde święta i wakacje, na któreby dzieci przywoził do domu, nie nie mówiąc P. Teresie o swych zamiarach, odwiózł synów do Hrubieszowa, ale ulokował ich z tym wa-

runkiem, że ich nie weźmie ani na jeden dzień do siebie, póki szkół nie ukończą. Tak to szło przez półtrzecia roku, w ciągu którego to czasu P. Sebastyan po trzy i cztery razy na rok odwiedzał swoich synów, czasem proboszczowi dawał konie aby się przejechał, obaczył ich, przeegzaminował; ale mimo prośb, łez i dąsów ciotki Teresy, mimo wyrzutów, że jest ojcem twardym i nieczułym, do których się czasem w żalu swym uniosła, nie dał się skłonić do złamania swego postanowienia, i ani razu dzieciom pod dach rodzinny zajrzeć nie pozwolił. Ale rok 1834 był dla P. Sebastyana za nadto ciężkim. W zimie padło mu kilkanaście sztuk bydła, oziminę musiał przeorać i jarém zasiać nasieniem, zbyt sucha wiosna, nieobiecowała żadnego zbioru siana, tak że spodziewany plon i z niego dochód, według prawdopodobnego obliczenia, ledwie mógł wystarczyć na liche utrzymanie domu i remanentu, na opłacenie sług i innych ciężarów, jakie wnosił. O utrzymaniu w szkołach chłopców nie mógł P. Sebastyan i pomyśleć, i z wielkiem swém zmartwieniem postanowił ich odebrać i z kontynuowaniem ich edukacyi do lepszego poczekać czasu. O tym kłopo-

cie swym nieraz rozmawiał z proboszczem, który go pocieszał jak mógł i wreszcie dodawał:— Przywieź-no P. Sebastyanie dzieci tu, a potem obaczmy co Pan Bóg da.

W skutek téj rady przyjaciela, i w skutek tego przekonania, że inaczej być nie może, objawił P. Sebastyan P. Teresie, że zaraz po Stym Janie jedzie do Hrubieszowa i przywozi chłopców do domu. Przytém prosił ją, aby dla nich przygotowała stancyjkę obok siebie, przyrządziła łóżka i stolik do pracy. Radość ztąd pocziwój ciotki była niezmierna. Nie wechodziła ona w to, jak ciężka konieczność zmusiła biednego ojca do tego kroku; ale ta myśl, że pieszczołków swych będzie miała obok siebie, pod swoim okiem, że będzie mogła ich myć i czesać, stroić i moderować, upominać i ścisnąć, pieścić i karmić różnemi przysmakami, odbierała jej sen i niedawała spocząć na chwilę. Krzątała się więc od rana do nocy; uprzętała pokoi, kazała w nim ze dwa razy myć podłogę, ustawiała i przesuwała sama łóżeczka, stoliki i stołki; na strychu gdzieś wyszperała stare szaragi, które kazała pozbijać, wyszorować i ustawić przy wolnej ścianie, aby mieli gdzie kłaść surduciki i

plaszcz. A gdy wszystko było gotowe, wzięła się dopiero do pieczenia obwarzanecek, posypanych siekanemi migdałami i cukrem, sucharków, pierniczów; smażyła w miodzie orzechy, przesmażała ostatki przeszłorocznych konfitur, aby nie skwaśniały; słowem, co tylko miłego im, dobrego i smacznego wymyślić mogła, a na co ją stało, wszystko na przyjęcie tak drogich gości było przygotowane. P. Sebastyan dnia 27 czerwca wyjechał. Cały 28my niepokoiła się P. Teresa niezmiernie, a przed wieczorem tego dnia, obliczywszy mile, czas potrzebny do wybrania się, i sądząc, że co chwila nadjadą, co kwadrans prawie wybiegała za bramę i patrzyła ku drodze od Chełma. Ale widać, że ważna jakaś zaszła przeszkoda, kiedy tego dnia nie przyjechali. Epoką tą, pamiętną w życiu téj kochającej istoty, i epoką, od której się właściwie opowiadanie nasze zaczyna, miał być dopiero dzień 29 czerwca, roku pańskiego 1834.

II.

Uwoż tego dnia, który się jej wydał niesłychanie długim, P. Teresa na seryo już niespokojna i zatrwożona, położywszy po obiedzie parę razy kabałę, która niepomyślnie wypadła, przypominając sobie sny jakie miała tej nocy, a nade wszystko usłyszawszy wycie żałośne psa, faworyta P. Sebastyana, serdecznie się rozplakała. Na to nadszedł proboszcz, który także myślał już to i owo, dla czego sąsiad nie wraca, kiedy odległość tak niewielka, a examen publiczny i rozdanie nagród dzieciom musiało się odbyć przedwczoraj, lub wczoraj. Ale gdy postrzegł P. Teresę tonącą we łzach, domyśliwszy się ich powodu i chcąc jej dodać serca, ukrył obawy, jakie i jego trapić zaczynały, i swoim zwyczajem za-

czynając od zburezenia tych, których później pocieszał lub którym rozumne dawał perswazyę, rzekł:

— To, to, to! już beki. Potrzebna rzecz! ni daj, ni pójdź rozlewać się we łzach, jak gdyby Bóg wie co się zrobiło. Wstydz się asanna P. Tereso. To obraza P. Boga, nie więcej.

— Kiedyż bo mi serce pęka, księże proboszczu! — rzekła witając go i całując w rękę.

— To bo to i bieda— odpowiedział ks. Zielenkowski siadając— że P. Teresie zaraz serce pęka, byle tam gdzie szyba w oknie pękła u dziesiątego sąsiada, albo rozbił się garnek z mlékim. Dobrze to mieć czułe serce i umieć uczuć każdą rzecz, która się wydarza nam lub bliżnim; ale pamiętać potrzeba, że łzy są tak jak deszcz. Kiedy w miarę spada na ziemię, to i ona urodzajniejsza i powietrze jest świeższe i zdrowsze. Wtedy miło odechnąć i spojrzeć na zielone pole i na liście drzew, gdy na nich stają krople, bo te im dodają i czerstwości i wdzięku. Ale kiedy się zacznie kapuśniaczek i rozleje się trzydniówka, to z tego ani pożytku ani ozdoby. Wszystko ginie i wymaka, a na ziemi robi się tylko błoto, nie więcej.

P. Teresa uśmiechnęła się, że jej płacz przyrównał do kapuśniaczku, i otarłszy twarz, jakby w tej myśli, żeby z niej zetrzeć błoto, o którym wspomniał, rzekła:

— Wiem ja to i sama, że to ludziom wydaje się śmiesznem, że mnie tak byle co rozrzewnia, i przyznaję się do tej wady z której już trudno mi się poprawić. Miałam wiele powodów do płaczu i nauczyłam się płakać nad sobą i nad drugimi. Pan Bóg dał mi kochające serce, a nie dał mi nic takiego, za coby mię ludzie nawzajem kochali. A to jest podobno zawsze tak, księżę proboszczu, że kiedy kto wiele kocha, a drudzy nie oddają mu tego, co on im daje, to i wiele płacze; gdyż nie mając pociechy od nikogo, szuka jej w łzach, które zrazu płyną z powodów słusznych i ważnych, a potem byle co wydobywa je, bo zawsze są na pogotowiu. Ale tu, księżę proboszczu, powodem moich łez nie jest ani szyba pęknięta, ani garnek rozbity.

— A cóż takiego? — zapytał proboszcz z zajęciem, sądząc, że miała jaką wiadomość od brata.

— P. Sebastyan nie przyjeżdża, choćby dawno już powinien być w domu — odpowiedziała mocu-

jąc się z sobą— i chłopców mych nie ma, których nie wiedzieć dla jakiego widzi mi się, wypędził od siebie na całe trzy lata, i oddał Bóg tam wie na czyje ręce. A któż zgadnie, dla czego sześć mil tam, sześć mil nazad jedzie tak długo? Może który z nich zasłabł i zamęczył się nauką, a może którego już i nie zastał wcale— i znowu łązy na samą tę myśl potoczyły się z ocz jej potokiem.

— To, to, to! Panno Tereso! Panno Tereso! — zawołał ksiądz, robiąc spiralną palcem prawej ręki podnoszącym się coraz w górę.

— Nie jestem ja przesadna — mówiła dalej P. Teresa — i nie powiem żebym zupełnie wierzyła temu, w czém serce niespokojne szuka wiadomości, jakiej nie ma, i uspokojenia, jakiego pragnie. Ale kładłam dziś kabałę i wypada jak najgorzej. Dziesiątka treflowa, która znaczy chorobę lub śmierć, staje ciągle przy walecie kierowym, którym jest Eugenjuszek. Śnił mi się także pożar tej nocy, ale ani jednej iskiereki nie widziałam, ani jednego płomyczka, choćby takiego, jak świeca zapalona, ale tylko dym gęsty i czarny, jak gdyby się paliło mokre siano. A toż wycie żałosne Kruczka, które ot i teraz ks. proboszcz słyszy, czy nie może mię

przestraszać i Bóg wie jakie podawać myśli! Nakarmiłam go dziś sama i nikt go ani uderzył, ani go Białka nieukąsiła, co czasem się zdarza. A to pies mądry i przywiązany do P. Sebastjana. Któż wie, może przeczuwa, że się panu jego co złego stało.

— Słuchałem cię, panno Tereso cierpliwie — odpowiedział proboszcz, spojrzawszy jednak nieznacznie w okno i zmarszczywszy brwi, gdy postrzegł że w rzeczy samej Kruczek stał w bramie, podniósł łeb w górę i wył przeraźliwie — ale muszę ci powiedzieć, że popełniasz grzech przeciw pierwszemu przykazaniu dziesięciorga, które przecież musisz umieć. Czy P. Teresa tego niewiesz, że przykazanie to zakazuje wszelkich wróżb, guseł i zabobonów, jakimi człowiek sam durzy siebie, albo inni chytry i przebiegli durzą go dla zysku lub wyprowadzenia go w pole. Cóż jest kabała, co ów dym senny, co wycie psa, który może głodny lub chory, jeżeli nie taka wróżba, nie mająca żadnego związku z tém, o czém dowiedzieć się chcemy. Złeś ztasowała karty i dla tego parę razy dyska treflowa przyczepiła się do waleta kierowego; nie mogłaś dobrze spać i dla tego marzyło ci się i

to i owo. Prawda, że człek radby podnieść tę zasłonę, która przed nim zakrywa to, co go obchodzi. Ale nie powinienże o tém pamiętać, jak mądrze to Bóg urządził, że nie dał nam czytać w przyszłości, ani przejrzyć oddalenia. Cóżby się z tobą działo, P. Tereso, gdybyś teraz na przykład mogła widzieć cały Hrubieszów jak na dłoni, i gdyby, co nie daj Boże, doprawdy albo które dziecko było chore, albo P. Sebastian sam zaniemógł. Dopiero to byś szlochala i łamała ręce, widząc obydwoma oczami złe, a nie mogąc ruszyć się z miejsca i lecieć natychmiast z pomocą i pomocą. Wtenczas znowu narzekałabyś na P. Boga, że ci dał tylko tak niedołężne nogi, któreby cię i za trzy dni nie dowlekły tam, gdziebyś chciała być za kilka minut, i wołałabyś na gwałt o skrzydła, i chciałabyś być nie człowiekiem, ale ptakiem. A nie mogąc nim zostać, albobyś bluźniła w żalu, albobyś się poddała rozpaczycy i sama w niej zginęła. Oj! nie poprawiajmy P. Boga w tém wszystkim, co On dla naszego dobra i pokoju tak mądrze ustanowił, ale uczmy się raczej jego przykazań, i prosimy go, aby od nas usuwał pokusę,

któraby nas ciągnęła do sprzeciwiania się im i do niezgadzania się z jego świętą wolą.

Niechże się dzieje jego święta wola, jak w tém, tak i we wszystkiém! — rzekła P. Teresa uspokojona słowy księdza i pocałowała go w rękę za daną jej naukę, obtarła łzy i uśmiechać się zaczęła. Wtedy proboszcz dodał:

— Otoż tak to lubię. Dobrze bardzo trzymam o sercu człowieka, kiedy do jego głowy przystaje proste i nieuczzone słowo kapłana, wyciągnięte nie z jakicheiś osobliwych mądrości światowych, ale po prostu z katechizmu. Dajmy więc pokój, P. Tereso tej trosce, którą się niepotrzebnie trapiłaś, a usiądźmy sobie przed domem, gdzie właśnie teraz mamy cień i chłód, i patrząc ku bramie, wyglądajmy naszych kochanych podróżnych. Któż wie, może Bóg sprowadzi ich zdrowych i wesołych prędzej niż myślałaś, i przekona cię, że lepiej było ufać jego łasce i ezuwaniu nad każdym, niż się pytać kabały, i trwożyć snami i wyciem psa, który ot patrz, już jakoś weselszy, kręci ogonem i do zwykłej z Białką zabiera się swawoli.

P. Teresa nie miała nic przeciw propozycyi;

wynieśli więc sobie po krzeselku, usiedli przed progiem i patrząc w otwarte wrota dziedzińca, i nasłuchując, czy nie rozlega się na drodze turkot kół i stapanie rącho biegnących koni, gawędzili o różnych rzeczach, które z głównym przedmiotem ich myśli najściślejszy miały związek.

Na takiej rozmowie przeszło im z parę godzin, a gdy już słońce zaczęło się chylić i czas było księdzu iść na pacierze, nie okazując niespokojności, która i jego trapić zaczynała, podniósł się z krzesła i nałożywszy rogatą swoją czapkę, wsparty na lasce, gotował się pożegnać P. Teresę, której zmartwienie stawało się coraz widoczniejszem, i która tylko w obecności księdza proboszcza moderowała się jak mogła. Ale gdy ksiądz rzekł jej:

— No, do widzenia P. Tereso, bądź dobrej myśli. Bóg łaskaw — a ona z tych słów wnosząc, że i jemu pewnie ciężko na sercu, głośnym ryknęła płaczem, Kruczek zestrzygł uszy, zakręcił ogonem, zaszczekał; Białka mu zawtórowała, i oboje polecieli pędem strzały za bramę. I w kilkanaście sekund potem dał się słyszeć turkot i parskanie koni, i za chwilę pokazały się we wro-

taeh trzy głowy bułane, dalej bryczka, a w niej dwie główki jasne, ostrzyżone sporych już studentów, rozkwitłych jak maki, śmiejących się jak wiosna, patrzących roziskrzonem okiem na dach rodzinny, wspartych jedną ręką na ramieniu furmana, i jedną nogą już tylko stojących w bryczce, aby mogli natychmiast z niej wyskoczyć, skoro tylko konie zatrzymają się przede drzwiami domu. Jakoż ledwie furman zdołał ściągnąć cugle, a już oba byli na ziemi, już w objęciach ciotki, już całowali ręce proboszcza, już oglądali się na ten dom, gdzie najpierwszy oddech wyszedł z ich piersi, czy taki sam, jak był przed ich wyjazdem. P. Sebastian nie tamował uniesienia swych dzieci, ani radości łez ciotki Teresy. Przywitał się owszem jakoś serdeczniej niż zwykle i z nią i z proboszczem. Czuł on bowiem zawsze pustkę w domu, jaką nieobecność dzieci robiła, choć tego nie okazywał; a teraz widząc ich szczęście, słysząc to szebiotanie malców, którzy nagadać się nie mogli, jakoś zmiękł i sam, i nie wstydził się okazać tych uczuć, które go na ten rokoszny widok przejęły.

— Jak oni porośli, miły Boże! — wołała P. Te-

resa ściskając z dziesiąty już raz, to jednego, to drugiego — a prawie równi wzrostem, tylko że Ignas jakiś szerszy w plecach.

— Bo też i mocniejszy ciociu! od Eugeniusza— mówił Ignas— powalę go jak nic.

— Jakto? starszego brata?—mówiła P. Teresa— Co też ty gadasz Ignasiu!

— Dla tego my się kochamy, moja ciociu — rzekł Eugeniusz— a on prawda powali mnie czasem; ale to wtenczas, kiedym zamyślony, i nie bardzo mi się chce swawolić.

— To tak jak matka, która także się czasem zamyślała — mówiła ciocia, całując znowu siostrzeńca, że zamyślaniem się przypominał siostrę. — I jak on się zrobił do matki podobny. Nie prawdaż księżę proboszczu. A ten, to czysty ojciec— dodała klepiąc Ignasia po czerstwych policzkach— tylko mu wąsów brakuje.

— Nim mu wąsy urosną — rzekł P. Sebastyan, spojrzawszy jednak z ukontentowaniem na młodszego syna— daj nam co przekąsić P. Tereso, bo nas czemściś fatalnem nakarmili w Chełmie i diabelnie skąpo. Nie moja to porcyca wcale.

P. Teresa pobiegła zająć się przyrządzeniem

wieczery, która na wszelki przypadek zadysponowana, była już prawie gotowa; chłopcy poszli za nią i dostawszy po obarzaneczku, po sucharku i po jednym jeszcze całusie, polecili po wszystkich kątach domu; a proboszcz dowiedziawszy się, że przyczyną spóźnionego powrotu było tylko to, że akt publiczny odbył się dopiero wczoraj, że upał dzisiejszy i mały interes zatrzymał P. Sebastyana w Chełmie do godziny trzeciej, pożegnał sąsiada i poszedł do siebie.

Powrót ze szkół! pierwszy wieczór, pierwsza noc w domu! co to za czarowne słowa! ile się w nich mieści wspomnień, ile uczuć odbierających sen i apetyt, ile najprawdziwszych uciech, ile rozwinięcia sił ciała i ducha przy tej swobodzie domowej, w porównaniu z niewolą szkoły, przy tym uśmiechu i pieśszczocie, jaką malec odbiera wszędzie i od wszystkich, w porównaniu z surową twarzą nauczyciela, z karcącym wiecznie słowem inspektora, z zimnym, a często gniewliwym obejściem gospodarza lub gospodyni. Nigdy serce tak nie biło żadnemu tryumfatorowi Rzymskiemu, kiedy laurem okryty, stał na złocistym rydwanie, a za nim szedł szereg jeńców, co mieli jęk swój śmier-

telny dołączyć do okrzyków ludu witającego zwyciężcę, jak serce dwunastoletnie bije w piersiach drugoklasisty, kiedy wpada kłusem na dziedziniec domowy, stojąc na parokonnym wózku, i jak tryumfalną chorągwią powiewając listem pochwalnym do matki, która na przeciw niego biegnie, do ciotki co do niego wyciąga ręce, a czasem do babuni, która nie mogąc pospieszyć za innymi, błogosławi go z daleka, i gdy wszyscy go ściskają, czekając swojej kolei, mówi tymczasem po cichu: »Pod twoją obronę.» Nie bądźcież barbarzyńcami ojcowie, i nie psujcie dziecku waszemu początkowych dni wakacyi niewczesnym egzaminem; powstrzymajcie waszą gorliwość o dalszy jego popis w salonie i o powodzenie w świecie niebaczne matki, i nie męczcie go wokabulami francuskimi i wymówkami o złą pronuncyacyą; bo to jest chwila tak szczęśliwa, jakiej mu później nie da bogactwo, ani honory, ani szept pochlebny pięknego koła, jeśli będzie znakomitym tancerzem, ani oklask tyśiąca rąk, jeśli będzie znakomitym autorem.

P. Sebastyan, jakkolwiek surowy dla siebie i dla dzieci, umiał się postawić na ich miejscu, patrzył z ukontentowaniem na ich uniesienie i radość

i dał im zupełną swobodę. Już więc o świcie nazajutrz i dni następnych byli na nogach; nie było kącika w domu i w całym obejściu gospodarskiem, którego by nie obejrzel. Poznali się z konikami, które przez te trzy lata porosły i poszły do zaprzęgu i pracy; poprzyjaźnili się z parobkami, którzy pozwalali paniczom dosiąść to bułanka, to siwosza. W oborze przepatrzyli cały dobytek, dowiedzieli się o stratach, poznali przyniooty wszystkich krówek i historję byczków, które zostawili swobodnemi cielętami, a które już dziś dźwigają jarzmo. Odwiedzali z ojcem pola, sianożęć i lasek swój, który znali tak dobrze, a którego chłód po trzechletniem niewidzeniu wydał im się tak rozkosznym i tak zdrowym! Na probóstwo biegali po kilka razy na dzień, a interesując się każdym najdrobniejszym szczegółem gospodarstwa księdza, którego szanowali i kochali, nie mogli się nagađać z P. Błazajem, który im chętnie rozpowiadał wszystkie te dzieje, *quorum pars magna fuit*, t. j. których był sprężyną, któremi kierował, i które do najpomysłniejszego dla proboszcza końca doprowadzać starał się. Słowem, nie było dzieci szczęśliwszych w owym czasie, jak byli synowie tego

ubogiego szlachcica, który zaenością swego życia i postępowania umiał ich zrobić przedmiotem powszechnego zajęcia i sympatyj; który umiał tak utrzymać swój dom, że im żadne kwasy, żadne krzyki i gniewy gospodarskie nie psuły humoru i nie zapędzały ich do kąta, jak to zwykle bywa, póki by burza domowa nie przeszła; który nie dał im nigdy uczuć szczupłości swych środków, ale i nie podał tej myśli, że inne dzieci mają więcej sukienek, wygod, lub uciech i rozrywek. Wychowani w mierności, przywykli do skromnego mundurka, do prostej i pożywnej strawy, do łakoci i przysmaczków li domowych, widzący tylko surową, ale nieciężącą troskliwość ojca, serdeczną życzliwość proboszcza, wielką i pieśczośliwą miłość ciotki, ani pomyśleli o tem nigdy, że potrzeba mieć więcej, niżli miał ich ojciec, aby dzieci były szczęśliwe, jak jakie królewskie panięta, i miały prawdziwy raj na ziemi.

Zostawmyż ich w tym stanie i w tem złudzeniu, lepszym niż prawda, a poznajmy się bliżej z tymi chłopczykami, którzy obadwa jednocześnie, czego się zapewne czytelnicy nie domyślili, mają być bohaterami naszego opowiadania.

O jedenaście miesięcy różniący się co do wieku, gdyż Eugeniusz zaczynał rok czternasty, a Ignasz trzynasty, byli prawie równi wzrostem, siłą i rozwinięciem umysłowem. Oba skończyli klasę trzecią, oba wyszli z nagrodą i od początku pobytu w szkołach tak postępowali razem nierozdzielnie, że jeżeli się zdarzało, że raz starszy, innym razem młodszy był prymusem, to zawsze miał obok siebie brata, który był drugim uczniem w klasie. Zwierzchnik szkoły i nauczyciele cenili ich zarówno, bo żadnemu nie mieli nic do zarzucenia, a koledzy kochali ich i uważali zawsze za koryfeuszów, równie w szkole, jak i na placu zabawy, bo żaden z nich stosunkowo do wieku nie był silniejszym, przytomniejszym i zręczniejszym czy do piłki, czy do innej gry, jak Ignasz w każdej porze, i jak Eugeniusz wtedy, kiedy się rozweselił, i kiedy zapominał o poważniejszym jakimś myśleniu, któremu się czasem oddawał. Równie dobrego serca oba, pomagali chętnie mniej zdolnym kolegom w nauczaniu się lekcji, w rozbiorze łacińskim i niemieckim, w objaśnieniu zadań i przykładów z arytmetyki i geometryi. We wszystkich sporach i sprzeczkach

zawsze oni byli sędziami; i niebyło przykładu, aby który z nich wydał jakiś niesprawiedliwy wyrok, lub nie stanął murem w obronie słabszego i skrzywdzonego. Starsi nawet co do lat tej samej klasy uczniowie, a czasem i czwartoklasiści odwoływali się do ich zdania, i zwykle poprzestawali na tém, co wyrzekł albo *mądry*, jak go nazywali, Eugeniusz, albo *dzielny*, według danego mu przydomku, Ignas. Te epitety, które każdy prawie uczeń ze szkół wynosi, a które im często na całe zostają życie, dowodziły i tu trafności sądu, przenikliwego ocenienia przymiotów, i śmiałości w wyrzeczeniu swęj myśli w tęg młodzieży nie zepsutęj, nie umiejącej ani krzywdzić ani pochlebiać, i nie patrzącej jeszcze na kolegów przez te okulary, jakie później świat każdemu z nich miał nałożyć. Jakoż w rzeczy samej mądrość czternastoletnia charakteryzowała Eugeniusza. Zastanawiał się on nad każdą rzeczą, zdawał sobie sprawę z tego co mówi i robi; kiedy rozsądzał jaką sprzeczkę, to zawsze pokazał, dla czego tak lub inaczej o rzeczy tęg sądzi; gdy któremu radził jak ma postąpić, jak się w czém wytłumaczyć, to mu zawsze okazał dowodnie, dla czego

taką a nie inną daje mu radę. Przytém brał się czasem do książeczek, jeżeli jaką dostał, ćwiczenia swe obrabiał pilniej, z pewnym wyrozumowaniem przedmiotu; a co najważniejsza, nie nudził się nigdy, gdy był sam, i wtedy oddawał się myślom, wychodzącym za obręb jego zwyczajnego życia i spraw studenckich, które innych wyłącznie zajmowały. Co sobie wtedy myślał, tego zapewne i sam nie wiedział i nie był w stanie opowiedzieć, gdzie przebywa duchem; ale nietylko on czuł w sobie tę skłonność do jakiegoś bezprzedmiotowego bujania po świecie szerszym, niż ten, który go otaczał, ale i inni postrzegli w nim to usposobienie, od którego go szczególnie brat odwodził żartami i wciąganiem go, czasem gwałtem, do koła wesółych i swawołących kolegów. Wszakże to nie przeszkadzało mu bynajmniej ani do pilności w wypełnieniu swych obowiązków, bo lekcyja była u niego zawsze rzeczą pierwszą i przy ogromnych zdolnościach nie wiele go kosztowała, ani w zabawie i grach studenckich, bo skoro raz się rozochocił i rozigrał, szalał tak jak i inni i nieustępował żadnemu ani w ochocie, ani w zręczności, ani w sile.

Ignas znowu był w rzeczy samęj dzielnym we wszystkim. Pierwszy do lekeyi, pierwszy do zabawy i swawoli, wszędzie rej prowadził i nie dał się nikomu w nicém uprzedzić. Nie bardzo się on zastanawiał nad tēm, co mówił i robił; ale instynktem praktycznym trafiał zawsze do celu i nim inny wyrobił swoje zdanie, jakby tu postąpić, coby powiedzieć, Ignas od razu i prawie bez myślenia wypowiedział je, i wypowiedział tak, że nie było co zarzucić i każdy zgodzić się musiał. W postanowianiach swych był wytrwalszym od brata, i co raz przedsięwziął, to dokonał, nie zważając nawet na perswazye Eugeniusza i rozumne jego dowody. Najwięcej go zastanawiała praktyczna strona życia, przypatrywał się chętnie każdej robocie mechanicznej, pojmował wszystkie manipulacye szybko i dokładnie, i gdy lekeya już była umiana, nie był czas ani wspólnej rekreacyi, ani jakiej cząstkowej zabawy; gdy Eugeniusz czytał co, lub zamyślony siedział, on sobie coś strugał, robił jakieś cacko dla dzieciaków gospodyni, przyrządzał im małe stoliczki, stolki, grodził płotki w ogródku, podpierał palikami upadające kwiatki, lub biegł do sąsiedniego stelmacha

i tam siadał na kobylicę, wypraszał sobie strug, i majstrował z równym zapałem, energiją i dzielnością, z jaką wyścigał innych w bieganiu, lub powalał na ziemię nawet starszych, ale mniej zręcznych i zwinnych. Oprócz powyższej różnicy między braćmi, była jeszcze i ta, że Eugeniusz był delikatniejszym w swych gustach niż Ignas, który szczególnie na istotę rzeczy uważał, nie patrząc na formę, w jakiej się mu przedstawia. Eugeniusz nigdy sam nie użył i nie znoślił w innych żadnego grubijańskiego słowa. Ignas mniej zważał na ten brak wychowania w kolegach, byle tylko grunt serca w nich był dobry.

W odzieniu był Eugeniusz staranniejszym i dbalszym o czystość i formę. Lubił żeby surducik leżał na nim porządnie, żeby chusteczka była ładnie zawiązana, żeby czapka była wyczyszczona i nie pomięta. Na wszystko to Ignas nie tyle zważał, chociaż także szanował sukienki, ale nie przez tę skłonność do pewnego rodzaju elegancji, która widoczna była w starszym, tylko przez tę myśl gospodarską, żeby dłużej trwały i żeby ojciec naprózno nie ekspensował. Gdy przyszła pora owego błota Hrubieszowskiego, które często

do bajecznej dochodzi głębokości, Ignas grzął w niem ze śmiechem i swawolą i nieraz umyślnie zaszargał się więcej niżby należało. Dla Eugeniusza było to prawdziwe zmartwienie, brzydził się tym nieporządkiem miejskim i tak wybierał drogę, że przychodził do klasy najmniej od wszystkich uczniów zabłocony. W jedzeniu także był wykwinniejszym. Nie wszystko mu smakowało, a gdy nie miał w czém wybrać, wolał często głód przycierpieć, niż go zaspokoić potrawą, która w nim wstręt obudzała nie tyle materiałem, bo do prostego jadła i w domu przywykł, jak przyrządzeniem brudnym i niesmacznym. Oba chłopcy byli prawie jednakowego zdrowia; a choć niepodobni do siebie z rysów twarzy, bo starszy przypominał matkę, a młodszy był do ojca podobny, byli jednakowo piękni. Twarzyczki foremne, czerstwe i rumiane, zęby białe, uśmiech ujmujący i śliczny mieli obydwaj. Ale Eugeniusz miał czoło wyższe, okryte ciemniejszym włosem, oczy piwne, w których był czasem wyraz zamyślenia, kiedy Ignas był jasny blondyn, z niebieskimi oczami, któremi patrzył zawsze śmiało i przytomnie, i nie spuszczał ich

nawet przed surowém wejrzeniem ojca, którego bał się niezmiernie i czcil przedewszystkiém. Kochali się oni nie tylko jako bracia, ale i jako koledzy szkolni, byli wszędzie nierozdzielni, nieśli sobie zawsze wzajemną pomoc i słowem i czynem, i miło było patrzeć na tych dorodnych chłopczków, obciśniętych zgrabnemi i jednakowemi mundurkami, kwitnących zdrowiem, wesołych i rozgarnionych, kiedy szli gdzie razem trzymając się za ręce; kiedy przysłuchując się jakiejś rozmowie ojca z proboszczem wspierali się jeden na drugim i tak oba stali w milczeniu; kiedy w niedzielę, w nowe odziani komeszki, z różowemi jak ich twarzyczki wstążkami, służyli przy summie, i srebrnym swym głosem rozcho-dzącym się po kościele odpowiadali tak, iż widno było, że rozumieją słowa, które tak dobitnie i z taką pewnością wymawiają. To też od ich przybycia mieszkańcy Sawina i okoliczni sąsiedzi nie mogli się nagadać o tych dzieciach, które każdy ojciec stawil za wzór swoim, i których nie jeden panu Sebastyanowi zazdrościł.

Ale im częściej dochodziły do uszów pana Sebastyana pochwały jego synów, im bardziej i sam

rozpatrywał się w ich przymiotach i zdolnościach, tém cięższa gniotła go troska, że te dary boże mogą pójść marnie, że ta bujna niwa, jeżeli uprawianą nie będzie, może zarosnąć chwastem i zdziczeć bez pożytku. Rachował więc i obrachowywał swoją sperandę, a im mniejsza wypadła cyfra, tém frasobliwszym oddawał się myślom, Widział to dobrze proboszcz i nieraz z sobą o tém rozmawiali.

— Nigdy, mosanie, nikomu nie zazdrościł dochodów— mówił raz pan Sebastyan— i wiem o tém dobrze, że, żeby człek przeżył te lata, jakie mu Pan Bóg nazaczył, w pokoju i bez wielkiego kłopotu, to mu zawsze więcej potrzeba rozsądku, jak pieniędzy. Rzadko też one starczą, choć są w wielkiej liczbie; bo zwykle gdzie ich jest dosyć, tam znowu jest za mało tego, co jest od nich lepsze, a przez co miarkują się potrzeby ludzkie, i urząda się życie tak, aby była grobla wedle stawu, aby woda przez nią nie przechodziła i nareszcie nie podziurawiła jój i nie zerwała ze szczętem. Nigdy też nie narzekał; a choć mi Pan Bóg dawał jednego roku więcej, drugiego mniej, nie powiedziałem sobie jeszcze ani

razu, że jest za mało. Jak krawiec, mosanie, tak kraje, jak mu sukna staje, tak i ja mogłem i umiałem przykrawywać moje potrzeby według postawu, jaki mi się dostał; a choć suknia była raz trochę dłuższa, znowu trochę krótsza, odziewała jednak dostatecznie i przystawała mi zawsze do stanu. Ale przyszła kręska i na Matyska—dodał pan Sebastyan kiwnąwszy głową i z wyrazem twarzy, w której było więcej smutku niż rezygnacyi.—Gdyby tu szło o mnie samego, anibyśmy o tém mówił, anibyśmy się frasował. Na barszcz i na kaszę jeszcze mi wystarczy, a kapota choćby się wytarła i podziurawiła, to chciałbym widzieć tego, coby śmiał powiedzieć, że do tych dziur przyszedł nie przez zrządzenie Boskie, ale przez własną ośpałość i niedbalstwo. Ale takim dzieciom, jakie mi Bóg dał, nie móż podać ręki; takie drzewka, na które popatrzeć miło, nie móż przesadzić na grunt im właściwy i gdzieby się bujniej rozrosły, niż tu, gdzie zdzięją i okryją się wilkami, nie móż ich okrzesać, podeprzeć i wypielegnować według ich doskonałej natury, to jest dopięro, mosanie, boleść, jakiej jeszcze nie doznawałem, i taka, co mię zapewnie

nie zegnę i nie przyprowadzi do szemrania przeciw sprawiedliwości bożej, ale mię może złamać i zgruchotać, a bodaj czy nie odbierze im przed czasem i tę podporę, jaką dziś mają.

Te słowa zakrawające prawie na rozpacz, drżenie głosu, okazujące, z jakiej głębi jego serca wychodzą, przytém parę łez, które tém bardziej przenikały, że spadły na twarz człowieka, co nie tylko ciałem, ale i duszą wydawał się żelaznym i pełnym hartu, tak proboszcza wzruszyły, że ścisnąwszy tylko rękę starego przyjaciela, i czując, że i jego powieka zwilża się łzą współczucia, nie zrazu nie odpowiedział. Po niejakiem dopiero czasie, zebrawszy się z myślami, podniósł głowę i rzekł:

—Rozumiem ja to, kochany sąsiedzie, bardzo dobrze, że położenie twoje jest ciężkie, i że serce ojcowskie musi cię boleć, bobyś chciał dzieciom swym nieba przychylić. I nie ma co mówić, warte one wszelkiej pieczołowitości rodzicielskiej, warte wszelkiego starania i poświęcenia, tak są miłe; a takimi darami ciała i duszy uposażył ich pan Bóg, iż zdaje się, że wyraźnie powiedział do ciebie, ich ojca: oto masz

rolę, na której wszystko się urodzi, zasięje ją nasieniem zdrowém i pożywném; oto masz piękne latorośle, podwiązuje je, obracaj ku słońcu, zasłaniaj od złego wiatru, a będziesz miał słodkie jagody, które i ciebie ucieszą, i ludziom będą miłe i pożyteczne. Wtém to, kochany sąsiedzie, wola Jego jest widoczną. Kształcić drogich tych chłopców i pielęgnować powinienes. Ale czy do takich samych granic Bóg w mądrości swój kształcenie ich chciałby mieć posunięciem, do jakich serce twe ojcowskie, idące za natchnieniem potrzeb i widoków ziemskich, posunąćby je pragnęło, to jeszcze jest rzecz wątpliwa; bo w takim razie Bóg, dawszy im tak piękne zdolności i dary, dałby ci oraz i środki, abyś je rozwinał jak najdalej i doprowadził do tego kresu, do jakiego tylko doprowadzićby się dały. Widno więc, że inne są jego cele, kiedy tych środków nie masz, i że nie na to ich tak udarował, aby byli uczonymi i sławnymi wedle świata i jego doczesnej mądrości. Nie masz więc czego tak bardzo się frasować, kochany sąsiedzie, i poddawać się myślom tak trapiącym, które, jeśli cię i nie złamią, jak to grzesznie

prawie powiedziałeś, to mogą nadwerężyć twą siłę i podkopać twe zdrowie. Prócz tego, zastanowiwszy się nad temi obowiązkami, jakie Bóg wkłada na rodziców, to powiem ci sumienie, jako świadek twojego życia, i jako twój spowiednik znający najgłębsze głębie twojej duszy, żeś obowiązkom tym już zadość uczynił, i dalej jeszcze zadość im czynić i zdołasz i zechcesz. Nie wpoiliż w twych synów miłości i bojaźni Boga, co jest rzeczą główną i fundamentalną? Nie umieją paierza, nie rozumieją dokładnie katechizmu i nie znają wszystkich szczegółów służby bożej? egzaminowałem ich w tej mierze, i mogę cię upewnić, że byle nie zapomnieli tego, co dziś wiedzą, to im wystarczy i nadal, aby byli dla innych, a nawet starszych od siebie przykładem i wzorem. Nie jeden już patrząc na nich, kiedy klęczą i modlą się, mówił mi, jakie to pobożne dzieci! Uważałem to i sam, a i ty, kochany sąsiedzie, pewnieś to postrzegał, bo już ci nie od kogo to mają tylko od ciebie, że gdy są w kościele, to wiedzą o tém, że się znajdują w domu bożym, gdzie ciało powinno być pokorne, a myśl oderwana od ziemi unosić się z go-

racą modlitwą do nieba. A dalej, nie nauczyłeś ich poznawać co dobre, a co złe w czynnościach i myślach ludzkich, co znowu jest drugim ważnym obowiązkiem rodziców. Jeśli który się z nich odezwie, to aż miło słuchać, tak zdrowo i według miłości bliźniego sądzi o tém, co widział, co się tam zdarzyło w owych sprawach szkolnych i studenckich, z których już wnieść można jak będzie sądził i o innych. Nie widać że ze wszystkiego tego, co pochwalają, a co ganią, że mają wstręt do kłamstwa, do wykrętów i wszelkiego występku, a zachowali tę niewinność, jaką ich chrzest święty przyodził? Nie kwitnąż ich twarze rumieńcem i siłą życia; nie widnoż z ich oczu, że jak dusza ich, która się przez nie wyraża, czysta i zdrowa, tak i ciało ich niepokalane żadnym brudnym pożądaniem, nieodpowiednym ich wiekowi? I nie mogło być inaczej; boś dopełnił panie Sebastyanie najgłówniejszego obowiązku ojca: oto we wszystkiém dawałeś im dobry przykład. I jeśliby któremu przyszła jaka myśl i chęć zdrożna, nie może sobie powiedzieć: zrobię to, bo tak i mój ojciec robi. Uspokój się więc, bo niemasz sobie nic do za-

rzucenia. Chowaj ich tak, jakieś dotąd chował, ucz ich żyć własném swém życiem i zacnością swych zasad, a bądź pewny, że wyrosną na ludzi miłych Bogu, użytecznych sobie i drugim. Co się zaś tycze tój nauki, któraby dała chleb jednemu z nich, lub obydwóm, bo prawdę powiedziawszy w folwarczku twoim panie Sebastyanie byłoby im za ciasno, to któż wie, może i na to znajdzie się jaki sposób, jeżeli w tém wola pana Boga. A tymczasem przyślijno ich do mnie, to się jakoś z malcami twymi pokombinuję, i powtarzać będziemy to, czego się nauczyli, żeby nie zapomnieli, a w niektórych rzeczach pryney-palnych, jako to w łacinie, w historyi i w pi-saniu po polsku, to może pójdziemy i dalej.

Całej tój długiej porory słuchał pan Sebastyan ze spuszczoną głową i z uwagą, do którój czuł się obowiązany, nie tyle może dla mocy dowodów, któremi ksiądz starał się go pocieszać, jak raczej dla tego współczueia, które widne było w jego głosie i postawie. Gdy przyszło do ostatnich słów, pan Sebastyan podniósł głowę, ści-snął mocno i z uczuciem rękę proboszcza i rzekł:
— Księżu Macieju! jesteś zacnym kapłanem i

najlepszym przyjacielem. Perswazye twoje przyjmuję i dziękuję ci za nie, bo gruntowne i fraszunek mój oddają w ręce Boga, w których jest wszystko, i łaska i odrzucenie, i nagroda i kara. Ale oświadczenia twego dla mych chłopców przyjąć nie mogę, bo to byłoby za nadto. Czas twój należy całej owczarni twój, a nie dwóm tylko owieczkóm, i to jeszcze nie w tém, co się ich zbawienia tyczy. A jeślibyś miał dla nich poświęcać chwile odpoczynku twego, to ztąd nie ulgę miałbym, ale nowy kłopot, że będąc twym przyjacielem, zamiast nieść ci w czémkolwiek pomoc, staję ci się ciężarem.

—To, to, to!— rzekł proboszcz nasunawszy brwi i z ofuknieniem— czy to ja z niemi będę po całych dniach bakalarzować, czy co? Wstydz się panie Sebastyanie, że ci takie skrupuły przychodzą do myśli. Na godzinę co dzień chcę ich mieć u siebie i basta, nie więcej. Na to stanie mi czasu, choćbym miał dwa razy większą parafiją i dwa razy większe gospodarstwo. A za pracę żadną tego nieuważaj, bo to satysfakcya uczyć takie bystre dzieci, którym ledwo co powiesz, to już i zrozumieli, i w których głowach

nie ginie żadne słowo, tak jak w dobrej roli nie zmarnuje się by najmniejsze ziarno.

— Jeżeli już taka wola twoja, księżu proboszczu, to na jedną godzinę przystaję i dziękuję ci za tę ulgę, jaką dziś sercu memu dałeś i swoim słowem i swoim czynem— rzekł wzruszony pan Sebastyan— i uściskawszy rękę księdza, poszedł do domu.

Ale proboszcz, jakkolwiek czuł wewnętrzną radość, że mu się udało i pocieszyć sąsiada i przynieść mu jaką taką ulgę, zrozumiał to jednak dobrze, że i słowa jego nie mogły mu odjąć zupełnie myśli owych trujących, z jakimi patrzył na przyszłość swych dzieci, i pomoc, jaką mu ofiarował była tylko tymczasową i wcale niedostateczną. Jął więc myśleć i rozmyślać, jakimby sposobem zaradzić téj biedzie radykalnie i stanowczo, i uwolniwszy poezciwego ojca od troski o jednego przynajmniej syna, dać mu możliwość zajęcia się drugim i pokierowania go własnymi siłami. Przyszło mu najpierw na myśl, że panna Teresa miała niewielki kapitalik w listach zastawnych, stanowiący cały jej fundusz na stare lata, a oddany jej przez braci Piotra i

Marcina Jelewskich, niby jako całkowita scheda, przypadająca na nią, po odtrąceniu wszystkich kosztów jęj wychowania, jęj utrzymania przez lat tyle w domu pana Piotra i t. d.— Przyjęła to poczciwa kobięta bez żadnej reklamacyi, a choć wiedziała dobrze, że likwidacya ta wyglądała gorzej niż aptekarski rachunek, i że się jęj należało ze sześć razy więcej, nie jednak nie mówiąc, była i za to wdzięczną. Wiedział proboszcz, jak wylaną była panna Teresa dla krewnych, od których ani miłości ani sprawiedliwego ocenienia swych cnót nie doznała. Takie mając przekonanie o sercu tęj zacnej istoty, którą najszezerzję szacował, pomyślał proboszcz, czy nie powiedzięby jęj, w jakim położeniu znajdował się pan Sebastyan, i częmby mu ulżyć można. Ale w tym planie, który zrazu uderzył go jako najprostszy i najłatwiejszy do uskutecznienia, spotkał się z jedną ważną przeszkodą. Nie wątpił on weale, że panna Teresa oddałaby ostatnią sukienkę, byleby ją przekonał, że to będzie z dobrem jęj siostrzeńców, których tak mocno kochała; ale z drugiej strony nie wątpił także, że pan Sebastyan całą mocą swęj woli odrzuci jęj

ofiarę, i żadną prośbą i perswazyą nie da się skłonić, aby kobietę bezsilną, upośledzoną od natury, i nie mogącą szukać przytułku u krewnych, co ją obdarli i radzi są, że już sobie od niej raz na zawsze umyli ręce, pozbawiał funduszu, który na przypadek jego śmierci stałby się jej jedyłą ucieczką. Z tych powodów plan ten stanowczo odrzucił.

Z kolei i przez właściwe umysłowi ludzkiemu kojarzenie się wyobrażeń, przyszli mu na myśl wujowie maleców, których mu tak żal było zostawiać bez edukacyi i bez rozwinięcia tych zdolności, jakie w nich widział. Jeśli wykołatam, mówił sobie w duchu, ze trzysta złotych od jednego i ze trzysta od drugiego, to i wystarczy na ten ciężki rok, a dalej to już jakoś Pan Bóg poradzi. Pan Piotr miał wprowadzić syna i córkę, ale posiadał dobrą wieś, i robił wiele niepotrzebnych wydatków na udawanie pana, na przejażdżki niepożyteczne do Lublina w czasie karnawału, na stroje dla żony, która nawet na mszę do Sawina przyjeżdżała w piórach i atłasach i draba jakiegoś w galonach miała za sobą w kościele. Otóż jeśliby mu wyperswadował, żeby każdy nie-

potrzebny wydatek tylko o dziesięć złotych umniejszył, zebrałaby się pewnie kwota, którą mógłby przyjść w pomoc człowiekowi, którego żonę także po żydowsku obliczył. Pan Marcin znówu był prawie bogatym, tak był oszczędnym, tak załował sobie na wszystko. Ale zastanowiwszy się, że próżność i skępstwo są to źródła złośliwości, wysuszające ze szeptem serec ludzkie ze wszelkiego współczucia na niedolę bliźnich, że zagłuszają sumienie, i robią człowieka egoistą, ślepym na cudzą biedę i głuchym na wszelką prośbę i perswazyę; że pan Piotr wziąłby jeszcze i cudze, żeby stracić, a pan Marcin obdarłby i rodzzonego brata, żeby schować; przypomniawszy sobie, jak postąpili z bratem swym Pawłem i z siostrami; a nadewszystko wiedząc doskonale, że pan Sebastian odstrychnął się od nich zupełnie, że miał ich za ludzi złych i nieuczciwych, że wolałby pewnie umrzeć z głodu, niż być obowiązany takim, których nie szacował, odstąpił i od téj myśli, tém bardziej, że miał jak najmocniejsze przekonanie, że słowa jego byłyby daremne, i że poniżyłby się tylko napróżno, próbując skłonić do czegoś dobrego tych, których

szatan już opanował, i na dwóch najpotężniejszych powrozach ciągnął do siebie.

Smutnym więc był proboszcz przez kilka dni następnych i to szukanie środków, których wynaleźć nie mógł, to rzucanie myśli na prawo i na lewo, a spotykanie wszędzie trudności i przeszkód, które się zwyciężać nie dawały, odebrało mu humor zupełnie. Jedyną jego pociechą była ta godzina, kiedy chłopcy przychodzili na lekeją, kiedy patrzył na te twarzyczki śliczne i śmiejące się, kiedy w oczach ich widział radość, jeżeli im powiedział coś takiego, czego jeszcze nie wiedzieli, kiedy im dał co czytać, i przekonywał się z ich głosu i urobienia każdego słowa, że rozumieją dobrze, co czytają, a egzaminowani nazajutrz z téj saméj rzeczy, opowiadają ją i gładko i dokładnie i z takim zajęciem, iż widoczném było, że nie tylko słowa schwycili, ale że i rzecz sama i to, co w niej było najważniejszém utkwilo w ich głowach i sercu. Ale im bardziej przekonywał się, że to są dyamenty, które koniecznie trzeba oszlifować, aby cudownym uderzyły blaskiem; im bardziej zadziwił się, kiedy wyłożywszy im raz naukę o dobrych uczynkach, i

kazawszy to samo napisać, znalazł rzecz wyłożoną porządnie, dowodnie, a przepisana czysto i ortograficznie, szczególnie w tém, co mu podał Eugenijusz, tém więcéj znowu zaczął rozmyślać nad środkami, jakby temu zaradzić, żeby chłopcy tak rzadkiego usposobienia nie zależeli pola.

Te myśli trapiły go najwięcéj w nocy, kiedy się obudził, gdyż wtedy zwykle nie mógł prędko zasnąć powtórnie. A że imaginacya ludzka najsilniejszą jest w takiej porze, kiedy działaniu jéj żaden przedmiot zewnętrzny nie przeszkadza, zaczął więc pocziwy ten przyjaciel marzyć, jakaby karierę w świecie zrobić mogli, gdyby skończyli szkoły jak należy, i gdyby tym sposobem to wszystko dobre, które w nich ręka boża zasiała, doszło do właściwéj dojrzałości. Raz puściwszy się tą drogą, wyobraził ich sobie dorosłymi młodzieńcami, jednającymi sobie szacunek i miłość ludzką, tak przez piękną powierzechność, jaką mieli, jak i przez rozum, naukę i obyczaje, co wszystko rozwinęłoby się w nich pewnie do wysokiego stopnia. Puścił ich potém w świat i między ludzi, i z tą łatwością, z jaką my, powieściopisarze, usuwamy trudności i za-

wady z przed kroków naszego bohatera, jeżeli się nam podoba poprowadzić go szczęśliwie, torował im drogę i posuwał ich z jednego stopnia na drugi, coraz wyżej i wyżej, tak, że jednego zrobił uczonym zwierzchnikiem jakiegoś wysokiego zakładu naukowego, drugiemu, według praktyczniejszego jego usposobienia dawszy zawód administracyjny, podniósł go do wysokiego urzędu, zrobił radcą i referendarzem, okrył go znaczeniem i honorami. A cóż! mówił sobie wtedy w duchu, wszystko to byczy mogło i niechy to nie było nowego, żeby Zabuzscy poszli wysoko. Imieniu temu nie obce honory i godności. Wszak i tak jeden Zabuzski jest referendarzem, a drugi nawet był kasztelanem. Gdy proboszcz przyszedł do tego wniosku zaczął mocniej zastanawiać się i myśleć o tych krewnych pana Sebastjana; a chociaż ich nie znał ani z charakteru, ani z usposobienia ich dla biednego szlachcica, z którym łączyła ich tosamóść krwi i nazwiska, a do którego jednak nigdy się nie zgłaszali, sądził jednak, że uderzywszy do ich serea i przedstawiwszy im smutną konieczność człowieka, który się im nigdy nie naprzykrzał, możnaby wykoła-

tać jaką taką pomoc, a przynajmniej tyle rocznego zasiłku, żeby choć dla jednego z malców na utrzymanie go w szkołach wystarczało. Tą myślą tak sobie nabił głowę, tak się tём zaprzętnął, że czując wszelką niemożność przywołania snu na nowo, wstał, zapalił świecę, i chodząc po pokoju, zacierał ręce z radości i dziękował Panu Bogu, że mu zesłał myśl tak szczęśliwą. Żeby zaś ukuć żelazo, póki gorące i nie dać wystygnać temu uczuciu, które serce jego napełniało, osądził, że najprostszą będzie rzeczą i najkrótszą do dojścia do celu drogą napisać do jednego i do drugiego z tych panów, określić im położenie pana Sebastjana, jego zacność, jego uczciwość, klęskę jakiej doznał, dać oraz poznać przymioty dzieci, wymownie i do serca wypowiedzieć, że jeżeli nie dla względów ludzkości i pokrewieństwa, to przez wzgląd na samo imie, mające się przez nich podnieść w znaczeniu i sławie, należy podać im rękę. Postanowił więc *eo instante* usiąść do stolika i wśród ciszy nocnej i pod wpływem téj inspiracyi, jaką ona daje, ułożyć brulion wspólny do obu braci, który miał jutro, *mutatis mutandis*, przepisać na czysto, i nie nie

mówiąc panu Sebastyanowi według adresu wyprawić. Ale myśli ludzkie inaczej wyglądają w głowie, gdy się snują tłumnie, gdy jedna drugą wyprzedza, i jedna drugą przerasta lub podpira, a inaczej na papierze, kiedy szykują się jak żołnierze w linii, kiedy każda staje osobno i może być obejrzana od stóp do głowy, czy przypada do szeregu, czy jej nie brakuje albo ręki, albo nogi, czy ma dosyć wzrostu i siły, aby nie zeszpeciła miejsca, na którym stoi i wytrzymała ciężar, jaki na nią włożono. Nie jeden autor, nawet z najbardziej zakochanych w sobie, przekonał się, jak zdradzieckim zwierciadłem jego duchowej postaci jest papier; a i ksiądz Maciej także, napisawszy parę ćwiartek, gdy je potem odczytał, postrzegł, że opisy jego niedokładne, dowody niemocne, odezwy do serca krewnych jakieś zimne i nie przenikające tak, jak przenikały wtedy, kiedy były w nim, w jego sercu, kiedy były duchem i technieniem gorącym i żywym, a nie miały jeszcze na sobie tego ciała, jakie im piórem swém nadał, a które wystudziło je, pokrzywiło i pokoślawiło zupełnie. Niekontent więc z siebie, odsunął papier, wstał i znowu zaczął

chodzić. A że już był z siebie niekontent, wszystko mu do myślenia przeszkadzało, i podłoga która skrzypiała, i zegar który stukał, i szafa z książkami lepiej niż list jego napisanemi, i świeca, którą potrzeba było objaśniać, a która mu wskazała w oczy to belki w ścianie, to plamy z odpadłego tynku na ścianach. Żeby więc usunąć wszystkie te przeszkody, zatrzymał zegar, zagaścił świecę i otuliwszy się dobrze położył się na wznak na łóżku. I stało się to, czego nie jeden z nas piszących doświadczył. Myśli nie wyprostowały się, nie nabrały ani lepszej formy, ani większej mocy; ale sen powrócił, i w kwadrans potem ksiądz Maciej spał jak zabity. Gdy otworzył oczy, a był już duży dzień, wszystkie sęki, garby i koszlawizny jego wczorajszej pracy, stanęły przed nim od razu i oczepiły się jego głowy tak, że się od nich opędzić nie mógł. Usiadł więc na łóżku, przeżegnał się i zmówiwszy pacierz, powiedział sobie: »Próżna to praca i może być nieskuteczna. Jeżeli mi się nawet uda dobrze napisać, a napiszę obszernie, to znudzę; jeżeli krótko, to nie zrozumieją dobrze, ani ważności rzeczy, ani gwałtowności potrzeby. Zre-

szta na list można odpowiedzieć zaraz, a można odpowiedzieć i za pół roku, bo on nie stoi nad karkiem i niedopomina się o respons. Przycém to taki poseł, przed którym nie ma potrzeby spuszczać oczy i wstydzić się, gdy się zamyka ucho i serce na jego głos i odrzucę się prośbę, którą on słusznie zanosí i o zadość uczynienie jój domaga się. Weale jest inaczéj, gdy poseł jest żywy, któremu trzeba w oczy spojrzeć, a który śmie i umie wypowiedzieć wszystko, co i mnie się prędzéj uda, bo łatwiej jest wygadać się, jak się wypisać. Pojadę więc sam. Tak będzie i lepiej i prędzéj. Do kasztelana ztąd nie tak daleko. Obaczę najpierwéj, co też ten powie. Jeśli się okaże chętnym, to i sam napisze do brata, aby z nim do téj uczeiwéj i ludzkiej spółki należał. Odprawi mię z kwitkiem, ha! to nie ja się zawstydzę przed Bogiem i sobą samym, i jutro już będę wiedział, czy się uda, czy nie uda do pomódz przyjacielowi.”

Ucieszony tym planem ksiądz Maciej, zerwał się na nogi młodemi siłami, ubrał się co prędzéj, a gdy organista przyszedł z dziennym raportem, kazał mu przygotować bryczkę, trzy

konie, i zapowiedział, że pojedzie na dwa dni i to zaraz po mszy. Potém zwykłym porządkiem odmówił przepisane pacierze, w pół do ósmej stanął przed ołtarzem, a obracając się do małej liczby obecnych przy *Dominus vobiscum*, gdy widział na środku kościoła klęczącego z pokorą pana Sebastjana, a obok niego ze złożonemi rękami Eugenijusza i Ignasia, tém goręcej i ze łzami w oku prosił Boga, aby mu się poselstwo jego udało. Skończywszy nabożeństwo, wymknął się co prędzej przez zakrystyą, żeby się z panem Sebastianem nie widzieć, a gdy bryczka zaszła, i pani Błażejowa dawszy mu jaki taki zapasik, upominała, aby byle czego nie jadł na popasach i w gościnie, wsiadł ksiądz Maciej poglądając z uśmiechem na dworek przyjaciela, nasunął rogatą swą czapkę i nieuwiadomiwszy nikogo dokąd i po co jedzie, w imię Boże wyruszył.



III.

U PÓŁ PIĄTY mili od Sawina leżała majątność kasztelana, między Dubienką i Opalinem. Miał on większe jeszcze dobra w innej stronie Podlasia, które wziął po żonie, ale zwykle mieszkał w Zabuzu, tak nazwanem zapewne przez mieszkańców tamtej strony rzeki. Tam sobie kasztelan szczególnie upodobał, raz dla tego, że to był spadek po ojcu i że nazwanie odpowiadało jego nazwisku, a także iż tu miał dom obszerny, piękny, z ogrodem bardzo ładnym, i że rezydencya ta leżała nad samym Bugiem tak, że z okien widać było sunącą się tę falistą wstęgę, i można było porachować wszystkie tratwy i bajdaki, które piękną tę rzekę ustawicznym o-

żywiały ruchem. Do Zabuża tedy udał się ksiądz Maciej. Przybył on na miejsce jeszcze za dnia, zostawił w karczmie swoją bryczkę i konie, a dla dowiedzenia się o składzie domu, o charakterze osób, słowem, dla zrekonoskowania pozycyi, którą miał gorliwą przyjaźnią i chrześcijańską wymową zaatakować, udał się na probóstwo, pewny, że od sumiennego kolegi, znajdującego dostatecznie serce i usposobienie tych, których był pasterzem i spowiednikiem, dowie się najlepiej, jak i z której strony wziąć się do dzieła.

Ponieważ wieś ta składała się po większej części z mieszkańców greko-unickiego wyznania, cerkiew więc unicka była właściwie plebaniją, i znajdowała się we środku wsi; a kościółek katolicki, niewielki, ale prawie nowy i z gustem zbudowany, jako przeznaczony dla dworu, dla oficyalistów i małej liczby okolicznych mieszkańców tegoż wyznania, stał blisko domu dziedziców, który tam nazywano pałacem, i był niejako pałacową kaplicą. Tuż przy kościółku znajdowało się i mieszkanie kapelana, które się nazywało probóstwem. Od karczmy do owego probóstwa najkrótsza i najprzyjemniejsza droga prowa-

działa przez ogród dworski, i tę księdzu Maciejowi ukazano. Gdy zacny ten protektor bohaterów naszej powieści wszedł między piękne drzewa i klomby, gdy rzucił okiem na obszerne gazony starannie utrzymane, na ścieżki dobrze ubite i usypane żwirem, na rzadkie kwiaty, zdobiące te miejsca, gdzie stały zgrabne i biało pomalowane kanapki, ławeczki, i nareszcie doszedł do tego miejsca, z kądem odkrywał się dom o kilkunastu ogromnych oknach, obszerny, wysoki i ozdobnie wyglądający, pomyślał sobie, że tu jest porządek, że jest zamożność, że zatem ludzie, którzy mają tyle dla siebie, iż mogą takim kosztem utrzymać i zdobić swoją siedzibę, nie będą żałować małej części swoich dochodów, aby krewnemu, który ich nigdy o nie nie prosił, podać rękę w tak naglącej potrzebie.

Gdy tak rozmyślał i patrzył ku dworowi, postrzegł, że ze drzwi parapetowych, zapewne do jakiejś sali należących, wyszło cztery osoby. Mężczyzna już nie młody, poważny i pańską mający minę, chłopczyk może czternastoletni, żywy i ruchawy, dalej jakiś chudy i długi jegomość,

trochę przygarbiony, jakby śledzący ruchy chłopczyka i dający mu napomnienia, na które malec nie bardzo zdawał się zważać, i nakoniec ksiądz, co łatwo poznać było z sukni. Ksiądz to był młody, przystojny, wyprostowany; jego sutana zgrabnie przykrojona dobrze go opinała, kapelusz nowy i bóty wyglansowane połyskiwały z daleka, a ręka okryta była rękawiczką i trzymała cienką i zgrabną laseczkę. Chociaż ta elegancya w duchownym koledze nie bardzo się podobała księdzu Maciejowi, domyślając się jednak, że to musi być ów kapelan miejscowy, do którego dążył, zatrzymał się w miejscu, oczekując na grupę, która się do niego zbliżała. Ale w pewnej jeszcze od niego odległości kompanija ta rozdzieliła się. Stary ów pan wzięwszy chłopczyka za rękę poszedł z nim na prawo, a ów długi jegomość z młodym księdzem szli prosto ku temu miejscu, gdzie na nich ksiądz Maciej oczekiwał. Młody kapelan postrzegłszy nieznanego, poznaawszy także po sukni i po minie, że to kolega, przyspieszył kroku i skłoniwszy się grzecznie rzekł:

— Jegomość dobrodziej zapewne z interesem do

pana kasztelana? Właśnie poszedł z synem swym na przechadzkę.

— Mam ci ja wprawdzie ważną sprawę do pana kasztelana— odpowiedział ksiądz Maciej, trochę rozbrojony wyrazem twarzy łagodnym i rozumnym młodego księdza, a także jego przywitaniem, które było bardzo grzeczne i uprzedzające. Ale radbym wprzód pomówić z tutejszym proboszczem.

— Jeżeli z księdzem dziekanem Bazylewskim— rzekł młody kapłan uprzejmie— to mogę jegomości dobrodziejowi do niego służyć. On mieszka w srodku wsi, przy kościele tutejszej parafii; a jeżeli z kapłanem tutejszego katolickiego kościółka, to tym jestem ja, ksiądz Augustyn Mlecki, do usług.

— To, to, to! ja też domyśliłem się tego— odpowiedział ksiądz Maciej. Więc W Pana dobrodzieja, jeżeli łaska, proszę na krótką konferencyą. Jestem Maciej Zielenkowski, proboszcz niedalekiego ztąd miasteczka Sawina.

— Służę więc księdzu proboszczowi do siebie— rzekł młody kapłan z większą jeszcze uprzejmością— i cieszę się bardzo, że mam sposo-

bność poznać kapłana, w którego ślady daj Boże nam wszystkim młodym wstępować.

— Dziękuję, dziękuję— odpowiedział ksiądz Maciej, i idąc obok księdza Mleckiego myślał sobie: nie bardzo ci się chciało ustroić się w moją czapkę i bóty, i zdjąć te ładne rękawiczki, jakich ja jak żyję nie miałem.

— Panie Bogumile!— rzekł ksiądz Augustyn do owego długiego jegomości, który się przyzostawał— prosimy z sobą. Konferencya nasza z księdzem proboszczem zapewne nie potrwa długo, a miło nam będzie potem pogawędzić razem, ponieważ masz teraz wolną chwilkę od twego obowiązku— i obracając się do księdza Macieja dodał rekomendując:— Pan Bogumił Orlicki, ex-profesor matematyki i fizyki, a obecnie nauczyciel młodego kasztelanica.

— Bardzo mi miło, bardzo miło poznać WPana dobrodzieja— rzekł nasz proboszcz, a spojrzawszy na twarz pedagoga bladą, poważną, trochę nieukontentowaną, ale pełną wyrazu, pomyślał sobie: tém lepiej, i jego rada i zdanie może mi się przydać.

Domek kapelana był niedaleko. Stał on tuż przy kościele i prawie w ogrodzie, tak mały oddzielał go tylko kanalik i na nim mostek zgrabny i malowany. Dziwném się to trochę wydało naszemu proboszczowi, którego oczy przywykły do starych murów kościoła, do drewnianych i trochę pokrzywionych ścian swojego dworku, gdy obaczył niewielką tę świątynię, kształtną i bielutką, wznoszącą się na miejscu czystém, zamiecioném, usypaném piaskiem, obwiedzioném ładnymi sztachetami; gdy rzucił okiem na domek plebana, murowany, mający drzwi lakierowane z brązowém zamknięciem, w oknach ładne wazony z kwiatami i firanki, a zewnątrz ich żaluzyc zamiast okienic; gdy wszedł do pokoju, i obaczył meble zgrabne i połyskujące od czystości, kanapkę okrytą materyą, a przed nią pod ładnym stolikiem śliczny dywanik. A choć parę szaf pełnych książek mówiły także, że młody ksiądz nie tylko próżności światowej hołduje, pomyślał jednak sobie proboszcz z westchnieniem: »Jeżeli tak u księdza, cóż musi być u senatora, a jeżeli tu wszyscy myślą tylko o tém, żeby dogadzać swoim oczóm porządkiem, czystością i koszto-

wnością sprzętów, to choć może i mają dużo, ale muszą tyle wydawać, że tam na dobry uczynek zostaje bardzo mało, albo nie wcale.” Jak pierwój widok porządku i zamożności ucieszył go, że ci, do których się udawał o pomoc mają zkad jój udzielić, tak znowu ta uwaga odebrała mu nadzieję pomyślnego skutku i zasępiła jego czoło. Usiadł więc, nasunawszy brwi, na wskazaném sobie miejscu na kanapie i namyślał się, czy otworzyć się ze swym projektem czy nie, przed ludźmi, którzy przywykli do ciągłego dostatku i łatwego zaspokajania wszelkich zachceń, może nie pojną jego dobrych chęci dla przyjaciela i słowa jego przyjmą zimno i bez współczucia.

Nim się ksiądz Maciej namyśli i zdecyduje, powiedzmy parę słów o tych dwóch osobach, które do téj ważnej rozmowy należeć miały.

Ksiądz Mlecki pochodził z zamożniejszego domu i majątnych rodziców. Wychowany był w dostatkach, miał w dzieciństwie i w szkołach wszystkie potrzeby swoje zaspokojone tak, że żadnej biedy nigdy nie znał i nie widział. Przywykł

on za młodu do tego wszystkiego, co miłe oku, wygodne i ładne. Elegancya więc stała się jego potrzebą, jego nałogiem, tém bardziej, że miał matkę elegantkę, kobietę piękną i wykwintną, która nie cierpiała nic ani na sobie, ani obok siebie, coby raziło jakimś zanedbaniem, coby było ordynaryjnym, a tém bardziej brudnym i nieczystym, i która ten gust słowem i czynem w dzieci swe wszczepiła. Gdy jednak takie jej życie, przynoszące dochody, zrujnowało majątek, zapędziło w grób ojca i zmusiło czterech pozostałych synów do szukania sposobu utrzymania się, najmłodszy z nich Augustyn, który dla rozruchów krajowych uniwersytetu warszawskiego dokończyć nie mógł, a był wówczas słabowity, delikatny, do spokojnego zajęcia i pracy umysłowej skłonny, skoro tylko było można, wszedł do akademii duchownej i przed rokiem otrzymał święcenie. Że kasztelan był w związkach znajomości, a nawet przyjaźni z jego rodzicami, a stary kapelan jego umarł i miejsce to zostało opróżnionem, widząc przypadkiem w Warszawie u jednego ze znajomych młodego księdza, jakoś w parę tygodni po jego

prymicyach i nie mającego jeszcze żadnego planu, co z sobą zrobi i gdzie się uda, przypomniał go sobie i pogadawszy z nim i postrzegłszy, że młody człowiek pięknie się ukształcił, że zamiłował naukę i spokojność, zaproponował mu miejsce u siebie. Nie obiecywał mu wprawdzie znacznego dochodu, ale całkowite i przystojne utrzymanie, a nadewszystko dobre towarzystwo, dostatek książek i przyjacielskie obejście się. Ksiądz Augustyn przyjął z największą chęcią propozycję tak miłego i uprzejmego pana, i tćm chćtniej pćpieszył do Zabuza, że wiedział, że miejsce to należy do najpićkniejszych w okolicy, że dom cały słynie z porządku, gustu i elegancyi, że chociaż sama kasztelanowa jest kobićta dumna i imponuje wszystkim w domu, a nawet mćżowi, ale że to osoba pełna edukacyi, gruntownćj cnoty i pobożności. Nie zawićdł się ksiądz Mlecki w swoich oczekiwaniach, zastał domek swój przygotowanym na swoje przyjćcie, umeblowanym gustownie i z wygodą, co go niezmiernie ucieszyło; zastał kościółek opatrzonym we wszystkie potrzeby i bogato i pićknie; w całym domu i jego obejćciu widział

porządek, czystość, gust i nawet wykwiutność, do której przywykł, i którą lubił; kontent więc z pierwszego wrażenia jakiego doznał, doświadczając grzeczności od wszystkich, nawet od samej pani, co było rzeczą główną, mając wszystkie potrzeby swoje zaspokojone nawet wystawnie, oddał się z gorliwością obowiązkom swym, zjednał sobie prędko szacunek wszystkich, i przywiązał się do domu, w którym mu było tak dobrze. Był to więc młody człowiek mający rzeczywiste zalety, przewyższające daleko wadę zbyttecznej troskliwości o ubranie, sprzęty i wygodki życia, która w samej rzeczy w duchownym jest wadą, która słusznie proboszczowi naszemu na pierwszy rzut oka niekorzystne dała o nim wyobrażenie, a którą mu wlało wychowanie, a utrzymywał w nim widok i tryb domu, w którym się znajdował. Należał on do małej liczby duchownych młodszego pokolenia, urodzonych i wychowanych w domach zamożniejszych, którym stosunki familijne pomagają do utorowania sobie drogi w hierarchii kościelnej, jeżeli z edukacją i miłemi formami zewnętrznymi łączą prawdziwą naukę i prawdziwą pobożność, a nie poprze-

stają tylko na tém, że mogą z gustem wyidealizować prosty strój księży, że umieją znaleźć się w salonie, a nawet spowiadać damy po francuzku. Ksiądz Mlecki wiedział wprawdzie o tém, że protekcya dam jest zawsze i wszędzie potężną sprężyną powodzenia; ale z drugiej strony, przypatrzwszy się także i tym, od których kierunek młodego kapłana i posunięcie go na wyższe stopnie zależy, przy układności swiej zewnętrznej, starał się i o nabycie głębszej nauki i o ugruntowanie się we wrodzonych mu cnotach chrześcijańskich, któreby go i starszym duchownym, a mniej patrzącym na gładkie znalezienie się, zaleciły. Uczył się więc, pracował, pisał, modlił się gorliwie i przykładowie, żył skromnie i obyczajnie, był miłosiernym i śpieszył wszędzie z pomocą i pociechą, gdzie była obecność jego potrzebną; słowem, był to młody kapłan miły, uprzejmy, z dobrą sercem i dobrą głową, którego chętnie sympatyi czytelników naszych przedstawiamy, choć może im się także, jak i księdzu Maciejowi, jego glansowane rękawiczki i laseczka, którą miał w ręku, nie podobały.

P. Bogumił Orlicki, ów nauczyciel młodego panieza, pod względem zewnętrznych form i dbałości o swój strój i powierzchowność, był niejako odwrótną stroną ks. Mleckiego. Ani myślał on nigdy, co na siebie wdziewał, i nie spojrzął nawet, czy suknia którą bierze wyczyszczona, czy nie. O formę jej także nie dbał wcale. Jak mu krawiec zrobił, tak nosił, byle surdut nie kusy, fireykowaty, byle był dostatni, byle mu koniecznie zakrywał kolana i nigdzie go nie gniótł, nie cisnął i myśleć o sobie nie kazał. Chustkę na szyi zawsze miał białą, co przy niemożności codziennego jej zmieniania robiło ją czasem brudną. Rękawiczki jego były zwykle przechodzone, a niekiedy i poprute; kapelusz kładł tylko w jakichśiś ekstrordinaryjnych zdarzeniach i to taki, który nigdy nie był nowym, a zwykle chodził w czapce, często nawet na tył głowy nasunionej. Na stole jego i w szafie jego własnej był wielki nieład. Książki i papiery leżały tam na kupie, pióra i kałamarze w różnych kierunkach, a piasek był wszędzie i łączył się z pokrewną sobie kurzawą, którą nie zawsze P. Bogumił dał zmieść i sprzątnąć służącemu, przeznaczonemu do ich usług. Sługa ten

miał rozkaz od pani aby pokój panicza i stół nauczyciela utrzymywał czysto i w porządku, aby zmiatał i składał, wiele razy P. Orlicki się odwinie, żeby ile możności utrzymać ład, do którego chciała syna swego przyzwyczaić, a który naśladowując swego nauczyciela, mógł złego nabyć nałogu. Czasem nawet wszedłszy do pokoju syna i znalazłszy na stolyczku jego porozrzucone książki i seksterna, składała je sama i nieznacznie przycinając nauczycielowi, mówiła do chłopca: »jak będziesz miał tyle nauki i zasługi, co P. Orlicki, to ci wolno będzie rozrzucać książki i papiery i mieć na stole uczony nieład; a że się na to nie zanosz, bo się niechętnie bierzesz do nauki, to przyuczaj że się zawczasu przynajmniej do porządku.» P. Bogumił zrozumiał dobrze do kogo pija, czasem odchrząknął tylko i nic nie powiedział, a czasem i odciał się pani, której on jeden tylko z całego domu najmniej ulegał. Ten rodzaj abnegacyi i niedbania o to, jak się wyda i pokaże drugim, był jedyną wadą, którą mu czasem w poufnej między sobą rozmowie rodzice ucznia jego wyrzucali. Bo zresztą szacowali go niezmiernie i umieli cenić jego gorliwość, jego naukę, jego

umiejętność udzielania tego co umiał, i tę chęć gorącą, aby syn ich korzystał jak najwięcej, aby nabył gruntowniejszych wiadomości i uniknął tej ogólnej wady domowej edukacyi, że jest powierzchowną, płytką i kończy się na blichtrach, które świecą tylko w kompanii i robią z takiego panicza szczebioczącą i różnojęzyczną papugę. P. Orlicki, zostawiony sam sobie w czternastym roku życia, własnymi siłami przebył szkoły, ucząc drugich, korepetując lekeye bogatszym, przepisując skrypta to uczniom, to nawet nauczycielom. Tak utrzymywał się jak mógł, i przez to nabył wprawy w uczenie, zamiłowania tego ciężkiego rzemiosła, ale oraz nałogu pracy, i wytrzymałości na brak wszelkiej wygody i wszelkiej uciechy. Takim samym sposobem, bez niczyjgo wsparcia i pomocy, z większą tylko trudnością, jako w mieście wielkiem i drogiem, z usilniejszą jeszcze walką z pokusami, które toż miasto na każdym kroku nastęrczało, przebył uniwersytet w Warszawie i skończył go w 1825 r. ze stopniem magistra filozofii. Ponieważ zaś zawód nauczycielski był jedyną karyerą jaką iść pragnął, a miejsca wówczas żadnego nie znalazł, czekać zaś nie miał o czém, wstąpił do Pijarów, sądząc,

że tu zawsze znajdzie i kierunek i pokój i odpowiednie, skłonności swój pedagogicznój, zajęcie. Jakkolwiek ludzie, do których towarzystwa wszedł, byli szanowni i uczeni, ale czy to dla oszczędzenia młodemu akademikowi czasu, aby go miał więcej na studia teologiczne, czy dla nauczania przyszłego zakonnika pokory, czy może dla jakich drobniejszych powodów, intrygi lub czyjś bądź zazdrości, co jest wszędzie, przeznaczyli go do piérwszój klasy i tam kazali mu uczyć arytmetyki, jeografii i kaligrafii. Nie podobało się to magistrowi filozofii, który w uniwersytecie za najpiérwszego uchodził matematyka, i P. Orlicki, wytrzymawszy półtora roku, pomnożywszy tylko swoje wiadomości częścią teologicznych nauk, do których się gorliwie przykładał, złożył sukienkę i na świat powrócił. Przecierpiawszy cokolwiek biedy z właściwą mu wytrwałością, nieraz o kawałku suchego chleba, w wytartym surducie, w izdebce nieogrzanój i półtora tylko stolka mającój, przeczekawszy najgorsze chwile, po niejakim czasie wypłynął na wierzch i dostał się do tego żywiołu, do którego był stworzony i za którym wzdychał. Gdy w jednéj ze znaczniejszych

szkół wojewódzkich zawakowała posada nauczyciela matematyki i fizyki, P. Orlicki otrzymał ją za pośrednictwem swojego profesora uniwersyteckiego, którego był okiem w głowie, i do 1830 roku żył sobie spokojnie i uczył gorliwie i użytecznie. Później przypadek zdarzył, że się poznał z kasztelanem, którego syn zaczynał rok dziesiąty, a dla którego rodzice nie szukali ani francuza, ani szwajcara, ani holendra, ani szweda, ale takiego, coby go nie przerodził i nie przekształcił, lecz rozwinął w nim swojskie pierwiastki i dał mu gruntowną naukę, jeżeli ją przyjąć będzie zdolnym. Kasztelanowi podobał się ex-professor, zaproponował mu więc miejsce u siebie, które P. Orlicki przyjął i do Zabuża w końcu 1831 roku przybył. Chociaż go z uprzedzającą grzecznością przyjęto i otoczono staraniami i wygodą, dziwném się jakoś zrazu wydało to życie dworskie człowiekowi przywykłemu do niezależności, jaką daje oznajomienie się z biędą, umiejętność pokonywania jęj niewielkimi środkami, śmiałe zagładanie jęj w oczy, kiedy przychodzi, a ztąd nie zbyt wysokie cenie dostatków, i tych, co posiadając je, zbyt wielką do nich przywiązują wartość. Ta

walka ustawiczna z najpierwszemi potrzebami życia, do jakiej się od młodości zahartował, zrobiła go cokolwiek demokratą, dla którego te wygody, jakimi go otoczono, wydały się rzeczą zbyteczną, a grzeczność wymuszoną i nie miłą. Szczególniej nie mógł przywyknąć do obejścia się samą kasztelanową, której duma przebijała się przez te formy łaskawe, z jakimi go traktowała, której zasady czysto arystokratyczne, z jakimi nie ukrywała się wcale, raziły go niezmiernie, i każdy ukłon, jaki jej oddawać musiał, czyniły prawdziwą męczarnią. Ale wkrótce oswoiwszy się z tym trybem domowym, którego duszą był porządek, łatwość w obejściu i przyzwoitość w każdej rzeczy, zajmwszy się obowiązkiem, który mu dawał dużo do czynienia, widząc w ojeu swojego ucznia wdzięczne uznanie swych trudów i czasem serdeczniejszą poufałość, a w żonie jego postrzegłszy rzeczywiste cnoty i prawdziwy dla siebie szacunek, przywykł do tego wszystkiego co go otaczało, nauczył się wybaczać kasztelanowej jej wygórowaną dumę i cenił nad wszystko swojego rodu, przywiązał się do swego ucznia, choć ten nie odpowiadał jego chęciom i gorliwości, i nie myślał już starać

się o posadę publiczną, choć wiedział, że prośba jego i zabiegi nie byłyby daremne. Taką była owa druga osoba do narady tej należeć mająca.

Po kilku minutach milczenia, gdy ks. Mlecki postrzegł, że gość jego ma niby zakłopotaną minę i spuściwszy oczy, mnie swoją czapkę, rzekł:

—Może ta rzecz, o której mamy mówić, wymaga tajemnicy, to służę ks. proboszczowi do drugiego pokoju. P. Bogumił daruje, że go na chwilę zostawimy.

— Bynajmniej— odpowiedział ksiądz Maciej.— Owszem, rad będę posłyszeć zdania obydwóch panów w tej rzeczy, która nie jest właściwie moim własnym interesem, ale tak dobrze jak moim przez moc przyjaźni, która mną powoduje, i przez miłość chrześcijańską, która mnie czyni śmiałym i gotowym znieść nawet odmówienie i złe przyjęcie.

— Od kogoż tu ks. proboszcz możesz obawiać się złego przyjęcia?— zapytał ks. Mlecki z uśmiechem.

— To, to, to! jużci nie od panów— odpowiedział proboszcz.— Was mam prosić tylko o niektóre objaśnienia i o radę, a rady udziela każdy chętnie, a nawet i nieproszeni dają ją obficie i szczerze. Ale

ja tu przyjechałem prosić o zasiłek pieniężny, o wyznaczenie rocznego funduszu. A to już inna rzecz wcale. Każdy sądzi, że ma rozumu więcej niż mu potrzeba, i dla tego nie skapo udziela go i drugim; ale każdemu, choćby był najbogatszym, zdaje się, że ma pieniędzy za mało dla siebie, a ztąd jeśli mu ich kto chce jeszcze ująć, to za niemiłego uważając go gościa, nazywa go natrętem i nieznośnym żebrakiem, i jeszcze to jego łaska, jeśli tego nie powie głośno i z ofuknieniem biedaka, który przyszedł z nadzieją, a odchodzi ze wstydem. Jak ja odejdę od P. kasztelana, tego właśnie nie wiem, i chciałbym, żebyście mi panowie dali cokolwiek poznać i jego samego, a szczególnie ją, bo to u nas w Polsce wszystko od czépka zawisło, abym wiedział czego się spodziewać i do jakiej miary żądania moje podnieść. W każdym razie pójdę i spróbuję; ale zawsze wolałbym odejść ze skutkiem jakim takim, niż z żądnym.

P. Orlicki uśmiechnął się, słysząc ten wstęp rozwlekły trochę i nie zupełnie matematyczny, a ks. Mlecki zapytał:

— O cóż tedy idzie właściwie, niech ks. proboszcz szczegółowiej nam rzecz całą objaśni.

— Krótko panom dobrodziejom powiem—rzekł na to ks. Maciej. Ale nie krótko jak zapowiedział, lecz owszem z właściwą sobie dokładnością i wywodami, które naturalnie uczyniły opowiadanie jego przydłuższem, opisał P. Sebastjana, jego charakter, jego sytuacyą, jego stosunek pokrewieństwa z kasztelanem i referendarzem, jego trzymanie się w oddaleniu od bogatszych krewnych, aby biedą swą nie robił im wstydu i nie żenował ich dumy; potem przeszedł do skreślenia jego miłości rodzicielskiej i jego smutku, jaki mu daje tegoroczna klęska, która stawia go w zupełnej niemożności dalszego edukowania dwóch synów, którymi go P. Bóg obdarzył; dalej zaczął opisywać przymioty i zdolności tych dzieci, i tu szeroko rozwodził się nad ich postępem w naukach, nad ich rozsądkiem, pobożnością i obyczajnem znajdowaniem się w każdym czasie i miejscu; nakoniec, przeszedłszy do stosunków przyjaźni, jaka go od lat tylu z P. Sebastianem łączy i do przywiązania, jakie ma do jego dzieci, tak upodobanych wszystkim ucziwym ludziom którzy je

znają, oświadczył że bez wiedzy przyjaciela, któryby mu na to nigdy nie pozwolił, przybył tu z natchnienia bożego, azali nie uda mu się téj biędzie zaradzić i skłonić kasztelana, aby sam, lub łącznie z bratem, wyznaczył fundusz roczny, któryby jako tako wystarczał na utrzymanie tych chłopców w gimnazyum, co by im dało kierunek w świecie i przyniosło zaszczyt imieniowi jakie noszą.

Oba obecni spojrzeli na siebie, gdy mówiący wreszcie skończył, i nie spieszyli się jakoś z odpowiedzią; wtedy ks. Maciej, zsunąwszy brwi, dodał:

— To, to, to! Panowie coś milczycie i poglądacie na siebie. Żłem się może wybrał z moją nieproszoną gorliwością i odejdę zapewne z kwitkiem. P. Sebastyan lepiej podobno znał swoich krewnych, kiedy mu nawet przez myśl nie przeszło, aby się udał do którego bądź z nich, i wyciągnął do nich rękę w téj biędzie, która go uciska. A jednakże widzę tu wszędzie porządek i dostatek; wszystko się tu zieleni i śmieje, wszędzie widno, że jest nie tylko na potrzebę, ale i na zbytek, od którego gdyby choć troszkę ująć, jeszczeby wszystko zostało i porządném i piękném i okazałym, a do tych wszystkich ozdób przybyłaby rzecz najpię-

kniejsza i najokazalsza, to jest dobry uczynek. Ale widać, że to jest jedyny zbytek, za którym panowie tutejsi nie gonią, którego nie łakną, i zdaje im się, że się bez niego obejść mogą.

— Mylne ks. proboszcz dobrodziej—odpowiedział ks. Mlecki— masz o właścicielach tutejszych wyobrażenie. Porządek, który tu uderza wszędzie i który w rzeczy samej lubią, staranne zdobienie miejsca z natury pięknego, na co nie żałują, kosztuje ich wprawdzie nie mało; ale sędzę, że wedle ich stanu nie należy to do zbytków, lecz do istotnej potrzeby, a jest nawet dobrym przymiotem, za który należy ich szacować. Jużci lepiej jest wydawać na uporządkowanie i ozdobienie swojego domu, swojej majątności, gdyż to zostaje, trwa i czyni widok kraju powabniejszym i miłszym, niż rozrzucać tak pieniądze, jak rozrzucają je inni panowie, a nawet szlachta, na fraszki które giną, na zbytki stołu, które szkodzą i trują, na szumienie za granicą, co wszystko przepada i śmieszniemi nas czyni. Ale cała ta kształtność i ozdobność wszystkiego, coś już ks. proboszcz dobrodziej widział, a nawet ta okazałość jaką jutro wewnątrz domu obaczysz, nie przeszkadza dobrym

uczynkom, które po większej części przez moje ręce przechodzą, i o czém najlepiej powiedzieć mogę. Dają oni niemało równie swoim właścicielom, jak i obcym, i sądzę, że jegomość dobrodziej w reklamacyi swéj, która czyni zaszczyt jego sercu, nie doznasz wielkiej trudności.

Proboszczowi naszemu wyjaśniło się czoło, poprawił się na kanapce, i rzekł:

— Zaprędki więc sąd wydałem i przyznaję się do grzechu. Niech mi to P. Bóg odpuści, przez wzgląd na moje dobre chęci i natchnie kasztelana, według słów pańskich, któremi dajesz mi wielką otuchę.

— Jedną tylko zrobię uwagę— dodał ks. Mlecki.— Ponieważ jegomość dobrodziej powiedziałeś, że żądasz od nas nie tylko objaśnienia, ale i rady, radziłbym więc prosić tylko kasztelana o jednorazowe wsparcie dla dzieci krewnego, nie zaś o wyznaczenie stałego na utrzymanie ich w szkołach funduszu. Ten porządek, jaki tu ks. proboszcz dobrodziej widzisz zewnątrz, panuje u nas wszędzie, a szczególnie w rachunkach. Bo jużci nie są to magnaci, dla którychby parę tysięcy wydanych niespodzianie i z popędu bądź serca, bądź

próżności, były kroplą w morzu i nie robiły różnicy. U nas tu każdy grosz spodziewany, a jak wiadomo w gospodarstwie nie zawsze dochodzący, ma swoje przeznaczenie z początku roku, i tego trzymają się ściśle. Jest tam wprawdzie w tym budżecie rubryka i na dobre uczynki, ale ile wiem, przy ciężkim terażniejszym przednówku i klęsce, która nie tylko P. Sebastjana dotknęła, nie wiele tam już co zostało. Kasztelan ma najlepsze serce; znajdzie on kilkaset złotych i ztamtąd i ze swoich kieszonkowych, ale wątpię, aby chciał obowiązywać się nadal, tém bardziej, że w tym roku ekstraordinaryjny jeszcze ponieśli wydatek, gdyż kasztelanowa dla słabości córeczki swój wyjechać musiała za granicę i nie prędzój jak za parę miesięcy wróci.

Ks. Maciej spuścił głowę, pomyślawszy, że jeżeli z taką tylko jałmużną powróci, to jój P. Sebastjan nie przyjmie, a P. Orlicki odchrząknąwszy odezwał się w te słowa:

— Taką samą radę i ja ks. proboszczowi dobrodziejowi ośmielę się udzielić. Nawet więcj po-
wiem: może-by wcale nie wyrażać, czego W Pan
dob. żądasz i nie wskazywać drogi, jakaby się

potrzebie tego zacnego przyjaciela pańskiego a krewnego pana kasztelana zadosyć uczyniło, ale wprost opisać tylko stan rzeczy, dać mu wyobrażenie jakie to są dzieci i czego warte, i spuścić się na to, co mu serce jego natchnie. Zawsze jednak okoliczność tę przedstawić należy tak, żeby widział, że on jest ostatniem refugium krewnego swego i że potrzebie tej zaradzić należy skutecznie. Jednorazowego wsparcia proponować nie wypada z następujących powodów: najprzód, że nie będziesz Wpan dobrodziej mógł oznaczyć ilości, jakiej żądasz i jaka jest konieczną; powtóre, że jeżeli wetknie ci w ręce cokolwiekbądź, co się okaże niedostatecznym, niewypadnie ci oddać i powiedzieć że to za mało; a potrzecie, że z ladajakim datkiem, któryby wyglądał jak jałmużna, nie będziesz śmiał stanąć przed P. Sebastyanem, który, ile widzę z opisanja Wpana dobrodzieja, daru tego nie przyjąłby, i zamiast się ucieszyć, uczułby się obrażonym w tej ucziwój dumie biedaka, przywykłego polegać na własnej pracy i pomocy boskiej, którą ja aż nadto pojmuję.

Ks. Maciej, uderzony temi słowy, spójrzył na twarz bladą i surową mówiącego, która mu się w tej

chwili wyrazistszą jeszcze wydała, i ścisnąwszy jego rękę, rzekł:

— To, to, to! zgadłeś W Panu dobrodziej i przeniknąłeś uczucia przyjaciela mojego. Powiem nawet panom dobrodziejom, że cokolwiek mi się dla niego wyrobić uda, zawsze stanę przed nim ze strachem, i myślę nad tém, jak mu rzecz objawić, aby zamiast podziękowania nie sfukał mię i nie rozgniewał się na dobre, żem się bez jego wiedzy rozporządził.

— Dla tego też potrzeba— odpowiedział P. Bogumił— aby rzecz miała formę taką, któraby okazywała współczucie i życzliwość, jaką krewny dla krewnego mieć powinien. Gdyby można P. kasztelana skłonić, żeby do P. Sebastjana napisał, że oto: dowiedziawszy się w jakim znajdujesz się położeniu, i słysząc, że masz dziatki które Bóg wielkimi obdarzył zdolnościami, proszę cię, abyś przyjął taką a taką roczną kwotę, która jak sądzę dostateczną będzie dla utrzymania ich w gimnazyum Lubelskiem, aż do skończenia ich edukacyi i ukształcenia się tak, aby mogli przynieść honor imieniowi naszemu, i t. d. to byłoby i skutecznem i wcale nieobrażającym.

— Oj! byłoby, byłoby—zawołał ks. Maciej zacierając ręce— i żeby to można skłonić go do takiej ofiary.

— W tém to i trudność ks. proboszczu dobrodzieju — odpowiedział P. Orlicki, nie zmieniając wyrazu swęj twarzy— że się to zrobić nie da, i nie dla tych przyczyn porządku i ścisłości w rachunkach, o których tu ks. Augustyn wspomniał. Z rubryk budżetu możnaby wystąpić, i byłoby nawet i z czego; ale kasztelan nie odważy się nigdy na krok tak stanowczy i na taką samowolność niezwykłą u nas, zwłaszcza teraz, kiedy żony jego nie ma w domu i nie tak prędko powróci.

Ks. Mlecki widząc, że P. Orlicki zabiera się do wyjawienia rzeczy, jak są, i raz wpadłszy na tę drogę, nie będzie nie obwijać w bawełnę, jak to zwykł był czynić, zaczął chrząkać i kręcić się na krześle, aby w wykryciu przed obcym stosunków domowych zrobić go delikatniejszym. Ale matematyk nie zważał na te znaki, a mając zawsze na sercu wyniosły umysł kasztelanowęj, który i jemu nieraz dawał się ucuć, tak dalej mówił:

— Nasz kasztelan jest to najlepszy w świecie człowiek; mogę śmiało powiedzieć, to perła mię-

dzy równymi mu i zamożniejszymi od niego co do majątku panami. Obaczysz go WPan dobrodziej jutro, i przekonasz się, że to co mówię, nie ma żadnej przesady. Ujmie cię on od razu i postawi tak, jak gdybyś go znał nie wiem od wielu lat, taka jest uprzejmość w jego obejściu, taka słodycz w jego charakterze, taka delikatność w jego uczuciach. Przytém rozum oświecony, wiadomości nie brak, zamiłowanie nauki, sztuki i wszystkiego co piękne i użyteczne. Zajęty też jest ciągle to porządkowaniem i zdobieniem swojego mieszkania i ojczystej téj siedziby, to czytaniem, to malowaniem, to lepieniem z gliny biustów i posążków. Ztąd życie domowe i towarzystwo tych, którzy go otaczają, jeśli ich szacuje, przenosi nad błyszczenie między równymi, i nie ma tych pańskich narowów, tego pięcia się nad poziom i patrzenia z góry, które odstręcza od większej liczby naszych panów nas wszystkich, cośmy się nie urodzili w pałacu, a jednak o suchym kawałku chleba i przy łojowej świeczce dorównali im głową i sercem.

Te ostatnie słowa wymówił P. Orlicki mocniej, jakby rad był, że mógł je wypowiedzieć i spoj-

rzawszy na proboszcza, który go słuchał z zajęciem, tak kontynuował:

— Ale przy tych wszystkich przymiotach nieoszacowany ten człowiek ma wadę, która w sprawie W Pana dobrodzieja stanie się zaporą nieprzewycięzoną; wadę wielką, i że się tak wyrażę, wspólną wielu a wielu u nas mężom, równie panom jak chudopachołkom. Boś to W Pan Dobrodziej dobrze powiedział, że u nas w Polsce wszystko stanowi czépek.

Gdy się ks. Mlecki znowu poruszył i odchrząknął, P. Bogumił dodał:— I nie ma tu co prawdy obwijać w bawełnę; po prostu powiedziawszy, nasz zacny kasztelan w najrozszybszym znaczeniu tego słowa, boi się żony.

— Szanuje ją raczej, a nie boi się— przerwał ks. Mlecki, łagodząc rzecz z właściwą sobie delikatnością.

— Nie powiem i ja, żeby to było zupełnie jej winą, iż czując w sobie moc woli i charakteru, ujęła w swe ręce wszystkie nici zarządu domowego i zrobiła się głową domu— rzekł P. Orlicki.— Jest to więcej ujemna strona męża, że się dał ować i postawił się na takim podrzędnym stanowisku.

Ale fakt jest ten, iż dziś nie odważy się na żadne rozporządzenie bez jęj zezwolenia, a tęp bardziej nie odważy się na takie, któreby wychodziło ze zwyczajnej kolei, jaką ona raz oznaczyła. Na tęp to zasadzie stanowczo odradzam W Panu dobrodziejowi proponować oznaczenie stałego funduszu na utrzymanie tych dzieci, bo się to na nic nie zda, i kasztelan, choćby miał w duszy najlepsze chęci, nie ośmieli się na taki krok, któryby był wyraźną herezyą.

— W zbyt niekorzystnym świetle stawisz P. Bogumile kasztelanowę— rzekł ksiądz Mlecki, kiwając głową i z uśmiechem nieukontentowania. — Nie jest ona wprawdzie tak popularną, jak jęj mąż, ale ma rzeczywiste cnoty, dla których niepodobna odmówić jęj poszanowania.

— Wiem o tęp— odpowiedział żywiej P. Orlicki.— I gdyby było inaczej nie długobym tu popasał; gdyż zbyt różnymi się w naszych pojęciach o wielu rzeczach, abyśmy bez wzajemnego dla siebie szacunku mogli z sobą wytrzymać. Jest ona żoną uczciwą i wierną, i była taką zawsze, choć była młodszą i była nie brzydką; jest dobrą matką, gorliwą o wychowanie swych dzieci i sta-

rająca się dać im gruntowną naukę, nie zaś blichtry pańskie; jest porządną gospodynią, wyrozumiałą panią, a nawet miłosierną i modlącą się przykładnie chrześcijanką, na to wszystko zgoda; ale się urodziła księżniczką, i o tém w żadnym zdarzeniu, w żadnym miejscu, nawet w kościele, i względem nikogo, nawet względem męża nie zapomina. Ta wygórowana duma rodowa, przy dużym wzroście, przy postawie okazałej, a nade wszystko przy silnym charakterze i męzkim rozumie, daje jęj i tę imponującą minę, którą się w pewnych zdarzeniach zbroi, jak pancerzem, którą nawet męża zapędza w kąt, a ten poczciwiec, aby miał spokojną głowę do książki, do pędzla i innych swych zatrudnień, nauczył się już ustępować w milezeniu i złożył w jęj ręce mężowską swą władzę. To miałem jęj zawsze do zarzucenia i to zarzucam jęj dziś, ponieważ z okazji tej sprawy, o której mówimy, i do rzeczy tej przyszło. Ja wprawdzie na to jęj stawanie na książęcych szczydlach nie bardzo zważam i imponować sobie nie daję; bo i ja mam moją dumę, którą nazwę dumą suchego kawałka chleba, ale zawsze mi to przykro, że w tym domu, gdzie tyle jest dobrego

i zanego, gdzie tak dbają o porządek i ład we wszystkim, wywrócony jest najgłówniejszy porządek domowy, to jest, że ten słuca, co powinien rozkazywać. Że zaś tak jest, temu nie zaprzeczy i ks. Augustyn, choć może rzecz tę w innem widzi świetle; a ztąd WPan dobrodziej wnieś, czym miał racją tak radzić, jakem poradził, i co jeszcze raz powtarzam.

— Jeżeli tedy tak się rzeczy mają— rzekł proboszcz zsunawszy brwi i biorąc swą rogatą czapkę —to nie pozostaje mi nic, jak podziękować panom dobrodziejom żeście mię oświecili, i dawszy za wygraną moim pięknym nadziejom, wrócić eicho do domu, nie nie mówiąc P. Sebastyanowi gdzie był i po com jeździł.

— Wcale nie, wcale nie, ks. proboszczu! — rzekł P. Orlicki.— Ja jestem przeciwnego zdania i radzę zostać do jutra. Przez ten czas da się uskutecznić plan, nad którym już dawno myślałem, a który dziś tym gorliwiej poprę, że się przez to zrobi ulga ucziwemu człowiekowi i krewnemu, który mię już i przez to uchwycił za serce, że czuje swą godność, choć ma tylko sieraczkową kapotę, i nie narzuca się tym, którzy nie powinny

o nim zapominać dla tego, że on o nich zapominał.

— Mówże WP. dobrodziej, mów—zawołał proboszcz rozjaśniając lice, a potem machnąwszy ręką dodał— ale cóż! kiedy ta niefortunna nieobecność pani kasztelanowej może i tu stanąć na zawadzie.

— W tém zdarzeniu nie stanie — odpowiedział P. Bogumił. — Plan bowiem, który zaraz przedłożę, jeżeli będzie użytecznym dziecku P. Sebastjana, będzie bez porównania użyteczniejszym jęj synowi; a ona, jakem powiedział, jest matką dobrą i rozumną, i nie weźmie za złe mężowi, że się rozporządził bez jęj wiedzy w tém, co już niecierpiało zwłóki, o czém mówiłem już z nią nieraz, a co chłopcu jęj tak ważną przyniesie korzyść. Zresztą ja całą rzecz wezmę na siebie, gdyż w tém jest i mój interes, którybym zawsze przeprowadzić musiał, gdybym miał dłużej zostać nauczycielem w tym domu. Ks. Mlecki domyśla się zapewne, co mam mówić.

— Bez wątpienia — odezwał się apróbując ks. Augustyn — ze stanowiska pedagogicznego byłaby to rzecz bardzo użyteczna dla obudwu chłopców,

a nauczycielom ułatwiająca niezmiernie ich trudny zawód.

—Edukacja domowa— mówił dalej pan Orlicki— przy najkorzystniejszych warunkach, zawsze jest gorszą od publicznej, to wiadomo. Ale najgorszą jest wtedy, kiedy jest tylko jeden syn, i dla tego to jedynaki, wychowane w domu, nieudają się prawie nigdy. Emulacja jest bodźcem do wszystkiego, równie dla starych, jak i dla młodych, równie dla ludzi, jak nawet dla zwierząt. Trzeba bardzo rączego konia, żeby szedł szybko sam jeden w hołoblach i nie potrzebował podniety. A leniwszy nawet, z drugim gorącym sprzężony, rwie się z kopyta i unika batoga. Tak jest i z dziećmi, a szczególnie z chłopcami. Uczeń mój nie jest bez zdolności, ale mógłby bez porównania więcej skorzystać, niż dotąd skorzystał, a to dla tego, że nie miałem najwłaśniejszego środka podniecenia w nim ochoty i gorliwości. Kary, pokuty, i t. d. są to już rzeczy ostateczne, których używać nie lubię, i których używać nie należy, bo się dziecko z niemi osważa, traci wstyd i twardnieje moralnie, że się tak wyrażę, pod ręką, która go ustawicznie karci.

Ale jak będzie miał obok siebie kolegę, który każde słowo moje pojmie, zrozumie, wszystko wykona i prędko i z zapałem, z każdej rzeczy zda sprawę tak, że panicz poczuje, że go tamten wyprzedza, to i sam pomknie się, jak ów koń leniwy, a raz poznawszy, że ma siły i możność, pójdzie już i sam i rozwinie się o tyle, o ile mu Bóg dał zdolności i usposobienia. Oprócz tej ważnej korzyści naukowej, jeszcze mi ten plan zapewnia i korzyść moralną, która mi bardzo leży na sercu. Oto widzę, że uczeń mój wdał się nie w ojca, ale w matkę. Dobrzeby to było, żeby zachował moc jej woli i charakteru, bo z temi przymiotami wyrósłby na prawdziwego mężczyznę. Ale ja postrzegam ze smutkiem, że malec przejmuje te imponujące miny z niższemi, które codzien widzi; że się przypatruje często owej mitrze książęcej, którą ma na wszystkich biletach matki, na jej książkach, nawet na naśladowaniu Chrystusa, na naczyniach stołowych, na powozach i t. d., że zatem rozwinie się w nim ta sama duma rodowa, jaka ją trawi, i przywiązanie do rzeczy, w gruncie niewinnój, ale częzój, i nie dającój żadnej wyższości, ani war-

tości temu, kto jęj zkad innąd nie ma. Otóż jeżeli będę miał obok niego biednego chłopca, który pod każdym względem okaże się i wyższym i lepszym, przytrę mu tym sposobem te książęce różki, które mu zaczynają wyrastać, i może tym sposobem wyrośnie na człowieka, który pojmie to, że dziś trzeba czegoś więcej, jak być dobrze urodzonym, żeby mieć szacunek i miłość ludzką. Jakżeż? zgadasz się WPan dobrodziej, abym w tym sensie pomówił z kasztelanem? bo zresztą ja tę rzecz, jako ułatwiającą o połowę moją pracę i starania, biorę całkiem na siebie. Książdz Augustyn, który podziela w tęg mierze moje zdanie, dopomoże, a WPan dobrodziej jutro przyjdiesz do gotowego.

— Moi szanowni panowie!— rzekł ze wzruszeniem poczciwy proboszcz— jakżebym nie miał radować się i nie winszować sobie, że tu przybył, gdyby rzecz tak ważna dla jednego z synów mojego przyjaciela przyszła do skutku. Drugiemu poradziliby się jakoś inaczej; bo Bóg dobry, a w ciężkich okolicznościach początek tylko trudny.

— Proszę mi teraz powiedzieć— mówił pan Or-

licki, którego twarz rozjaśniała się tak, jak gdyby w rzeczy samej coś mu się pomyślnego zdarzyło— który z tych chłopaków pana Sebastjana zdolniejszy, pilniejszy, pracowitszy i obyczajniejszy.

— Oba oni— rzekł ksiądz Maciej— równie zdolni, równie pilni, oba w szkole szli zawsze równo, i to ten to ów był zawsze pierwszym uczniem w klasie. Oba też równie pociągłe dzieci, pobożne i obyczajne. Ale starszy ma więcej zastanowienia i bardziej rozwinięty, jako starszy, młodszy daleko żywszy i trochę mniej zważający na to co mówi i robi. Jak zaś jest zastanawiającym się i jak już usposobionym starszy, to WPan dobrodziej będziesz mógł przekonać się sam. Trzy dni temu wyłożyłem im raz tylko naukę o dobrych uczynkach, i kazałem to samo napisać. Otóż patrz WPan dobrodziej, co mi wczoraj przyniósł.

Tu ksiądz Maciej wy dobył z za sutany ćwiczenie Eugeniusza i dał je panu Orlickiemu. Pedagog wziął pół arkusz na wszystkie cztery strony zapisany, przypatrzył się naprzód charakterowi i wprawnej ręce, pokiwał głową z uśmiechem,

potem zaczął czytać. W ciągu czytania widać było ukontentowanie na jego twarzy, w kilku tylko miejscach ołówkiem, który leżał na stoliku, poprawił interpunkcyę, a skończywszy i oddając papier księdzu Mleckiemu rzekł:

— Patrz-no księżę Augustynie, jak ten uczeń klasy trzecięj pisze, i co to musi być za główka, która tak myśli swoje szykuje i tak jedną z drugiej wywodzi. Nie jest to tylko robota pamięci, to zaraz widno. A jak się nazywa ten malec?

— Eugeniusz— odpowiedział proboszcz.

— Więc zgoda na Eugeniusza— rzekł pan Bogumił podając rękę księdzu Maciejowi, który ją serdecznie uścisnął. Potem powstawszy dodał:— Teraz idę brać się do dzieła, a ksiądz proboszcz niech sobie odpocznie po tym niepokoju, jaki mu jego gorliwość o cudze dobro dała. Proszę tylko wierzyć, że chciałbym zasłużyć na szacunek i przyjaźń człowieka, który takim jak WPan dobrodziej umie być przyjacielem.

To powiedziawszy i uściskawszy raz jeszcze rękę proboszcza, który mu uścisk ten całym sercem oddał, poszedł. Ksiądz Augusty dowiedziawszy się od swego gościa, że nie pija herbaty,

ale przywykł na noc coś lekkiego przekąsić, posłał do pałacu, aby cokolwiek przyrządzono. Potém ulokowawszy starego w ładnym pokoiku, który miał naprzeciwko, poszedł z nim do karczmy, zabezpieczył jego konie, kazał jego tłómczek przenieść do siebie; a gdy wybiła dziesiąta i wszystkie potrzeby i ciała i duszy były zaspokojone, ksiądz Maciej położył się lekki na sercu i jakoś kontent z siebie, i zasnawszy prędko, spał do samego rana cicho i spokojnie, jak gdyby anieli czuwali nad snem człowieka, który przez cały czas poprzedni nie myślał o sobie i z miłości chrześcijańskiej pozabawiał się snu troską o drugich.



IV.

NAZAJUTRZ o godzinie czwartej już proboszcz nasz był na nogach. Ubrał się więc nie budząc nikogo i poszedł przejść się i odetchnąć świeżem ranku powietrzem. Tém piękniejszym jeszcze wydał mu się ogród, że był orzeźwiony chłodem nocy, że na trawach i listkach stały krople rosy, w których łamały się promienie wschodzącego słońca, że żaden jeszcze zakręt ludzki nie psuł tej ciszy, którą przerywało tylko świegotanie ptasząt, skaczących wesoło po gałązkach zielonych i wietkich, cieszących się, że się obudziły i że żyją, i wdzięczném pieniem dziękujących Bogu za te kropelki, które ich poją, za te ziarnka, które ich karmią, a których ani siać, ani zbie-

rać nie potrzebowały. Obszedłszy cały ten obszar, gdzie wszędzie widać było i hojność natury i staranność ręki ludzkiej, admiraował i symetryą w założeniu ogrodów, spacerowego i fruktowego, budynków mieszkalnych, oranżeryi i gospodarskich, nie przeszkadzających sobie nawzajem, i szczęśliwy wybór miejsca na wzgórzu nadbrzeżnem tak, że najobfitszy nawet wylew Bugu nie robił szkody, a pomnażał tylko okazałość widoku. Gdy obszedł dom z drugiej strony, postrzegł na obu jego końcach dwa ogromne okna z obszernemi gankami, z których zwłaszcza jeden, zapewne do apartamentów kasztelanowej należący, zastawiony był mnóstwem kwiatów. Domyślił się proboszcz, że to musi być ulubione miejsce właścicieli tego domu. Jakoż i sam nie mógł się napatrzeć na piękny i ujmujący widok, który się przed oknem jego rozciągał. Od domu do samej prawie rzeki szła pochyłość zielona, czysta, jakby każda trawka sadzona była ręką ludzką; na prawo i na lewo leżały cudne gaiki, a gdzie nigdzie wyniosłe drzewa, z poza których wyglądały dalsze budynki; naprzeciwko migotały fale Bugu połyskując tu i ówdzie jaskrawszym odbłyskiem i

jednostajnie i spokojnie pluskając o brzeg obrobiony, odarniowany, zielony, i mający w kilku miejscach to kłębik kwiatowy, to grupę niewielką topoli i pod niemi ławeczkę, to luźne i nieobronione żadnym cieniem siedzenie. Za rzeką zaś, małą w tej porze, widać było szeroką przestrzeń piasku, dalej wioskę nadbrzeżną, której nieszykowne zabudowania, czarne dachy i niebieskone chaty przez oddalenie wydawały się malowniczymi; a tło widoku, ile oko zasięgnąć mogło, stanowiły zabużne lasy, pomiędzy którymi widać było tu krzyż cerkwi i białe ściany jakiego dworu, tam przebijała się jasna woda Bugu, połyskująca zdaleka jak srebro. Patrząc na to wszystko pomyślał proboszcz: dobrze mówił ksiądz Mlecki, że gdyby wszyscy starali się ozdabiać w miarę sił swoje siedziby, a nie tracili pieniędzy na to, co ginie i marnie przepada, jakżeby to kraj nasz wyglądał! Usposobiony już i tak dobrze dla gospodarzów tego domu tą nadzieją, jaką mu dano, tym większego nabrał dla nich szacunku, a wdzięczny Bogu za wszystkie łaski, jakie na dobrych rozlewa, wrócił do mieszkania kapelana i z tym większym przeniknięciem wziął się do bre-

wiarza i modlił się nie tylko usty, ale szczerém i gorącém sercem.

Gdy skończył pacierze, wszedł do niego ksiądz Augustyn, powitał go uprzejmie i zapytał, czy nie zechce Mszy świętej odprawić. Było to właśnie intencją księdza Macieja, gdyż powinności tej nigdy nie opuszczał, chyba zmuszony niemożnością. Poszli więc razem do otwartego już kościołka, którego prostota, gustowne urządzenie i bogate aparata, co mu wszystko młody kapelan z upodobaniem pokazywał, zbudowały starego kapłana i o właścicielach miejscowych, niezadowolonych dla chwały bożej, jeszcze lepsze dały wyobrażenie. Chociaż ksiądz Maciej nie był wielkim znawcą sztuki, i oko jego przywykło do tych niekształtnych malowideł, jakie miał u siebie i jakimi wszystkie nasze kościoły, a szczególnie po miasteczkach i po wsiach napełnione, jednakowoż uderzył go dziwną prawdą i wyrazem obraz w wielkim ołtarzu znajdujący się, a wyobrażający Chrystusa oddającego klucze Kościoła chrześcijańskiego Piotrowi. Była to piękna kopia obrazu Guida znajdującego się w Luwrze. W kwóch drugich ołtarzach i na ścianach kościo-

ła było więcej ładnych malowideł, między temi niektóre ręki samego kasztelana. Wszystko to zastanowiło go wielkiem podobieństwem do natury, i ciągnęło wzrok jego, choć nie umiał sobie zdać sprawy, dla czego mu się podoba. O godzinie siódmej wyszedł ksiądz Maciej ze mszą, którą odprawiwszy w obec kilkunastu słuchaczów płci obojęd, do mieszkania kapelana powrócił. Ale księdza Augustyna nie zastał w domu; powiedziano mu, że pan kasztelan po niego przysłał i że tam poszedł. Domyślał się proboszcz, że go zapewne wezwano dla naradzenia się w sprawie, co go tak mocno interesowała, i niecierpliwie oczekiwał jego powrotu. Tymczasem lokaj pałacowy przyniósł mu kawę na srebrnej tacy i ze wszystkimi przyborami tak pełnemi elegancyi, że ksiądz Maciej patrząc na to, kiwał głową, uśmiechał się i myślał sobie, coby na to powiedziała Błażejowa, która ma pewną słabość do jakiegoś zakopconego i wyszczerbionego imbryczka, i zawsze utrzymuje, że w takim tylko kawa udać się może. Tymczasem pokazuje się, dodał sobie w duchu, że i ze srebrnego imbryka może być dobra i smaczna, a choć śmietanka

w garnuszku poléwanym, jak ją praży organiści-
na, smakowiciéj jakoś wygląda, i ta ujdzie, choć
z tego zgrabnego i figlarnego dzbanuszka. Z bo-
gactwa tych przyborów jeszcze inny ksiądz Ma-
ciéj zrobił sobie wniosek. Musi już i kasztelan
wiedziéć, że tu jestem, pomyślał sobie, i zape-
wne przyjmie mnie przychylnie i łaskawie, kiedy
mnie tak wspaniale traktuje. Ta uwaga ukrze-
piła jego nadzieje i zmniejszyła niepokój, który
go już zaczynał trapić, gdy żaden z jego wczor-
ajszych doradców nie pokazywał się.

Nareszcie już po godzinie dziewiętej przyszedł
lokaj z pałacu i oświadczył mu, że go pan ka-
sztelan prosi do siebie. Udał się więc ksiądz Ma-
ciéj za posłańcem, mówiąc sobie po cichu: Pod
twoją obronę; przeszedł kilka wspaniale umeblo-
wanych pokoi i nareszcie znalazł się w narożnej
sali, właśnie téj, której wielkie okno wychodzi-
ło na ganek i Bug, a która była biblioteką i pra-
cownią Kasztelana. Tam też zastał go przy szta-
ludze, z pędzlami w ręku, malującego jakiś obraz
z wielką pilnością i zajęciem. Gdy ksiądz Maciéj
z bijącym sercem zatrzymał się przy drzwiach,
kasztelan nieodwracając się od swéj roboty, rzekł:

— Proszę, proszę bliżej, księżę proboszczu! weź sobie krzeselko i usiądź. Za maleńką chwilkę służyć ci będę, tylko mi ten palec koszlawy, który mi dziś spać nie dał, wyjdzie prościej i naturalniej. Na to trzeba tylko kilka rysów szczęśliwych; ale o to idzie, żeby na nie trafić.

Ksiądz Maciej nie pojął jakoś téj troski artystycznój, która zepsuła sen kasztelanowi, i usiadłszy przypatrzył się najprzód malującemu panu, a potem pokojowi w którym się znajdował.

Kasztelan był średniego wzrostu, miernój tuzszy, ale jeszcze kształtny i niezłamany wiekiem; rysy jego były foremne i miłe, włosy siwe, czoło wysokie i trochę łyse; ubiór miał na sobie raunny, skromny, ale wygodny i zgrabny. Gdy potem rzucił okiem w około siebie, postrzegł dwie całkowite ściany zastawione szafami, w których było mnóstwo książek porządnie oprawionych; na środku wielki stół zieloném sukniem obity, a na nim dosyć książek, papierów i rysunków; przy drugiem zaś oknie, na podstawku drewnianym coś mającego formę ludzką, czego jednak rozeznąć dobrze nie mógł, bo było obwinięte mokrém płótnem. Z kupy gliny rozmiesz-

nej, która obok leżała, i przypomniawszy, co pan Orlicki mówił, że kasztelan i z gliny lepi; domyślał się, że to musiał być jakiś posąg, podobny do kilku posągów marmurowych i gipsowych, które dalej, przy ścianie wolnej od szaf stały. Cała ta inspekcya nie trwała więcej jak kilka minut, po których upływie kasztelan położył paletrę i pędzle, odstąpił w tył parę kroków i przypatrując się swojej robocie, rzekł:

— No, teraz ujdzie!— potem zwracając się z uśmiechem do księdza który powstał, ścisnął go za rękę i dodał. Przepraszam cię, księżu proboszczu, za moją niecierpliwość artystyczną doprowadzenia rzeczy do tego stopnia, żeby zaspokajała oko. A teraz pomówimy o interesie. Ale wprzód bądź łaskaw przeczytaj to, i powiedz mi otwarcie, czy tak będzie dobrze.

To powiedziawszy głosem dźwięcznym, czystym i z uprzejmością, która starego chwyciła za serce, zbliżył się do stołu i oddał mu list, w którym ksiądz Maciej wyczytał następujące słowa:

»Panie Sebastyanie! Dowiaduję się z ukontentowaniem, że ci Bóg dał dwóch synków, których szczerze w zdolności i inne przymioty ciała i

duszy uposażył. Winszuję ci z całego z serca, że masz tę pociechę, i że to wspólne imię, jakie nosimy, spada na dobre głowy i poczciwe usposobienia moralne. Jeżeli się to nie sprzeciwi twoim zamiarom i myślom dalszym w pokierowaniu twych dzieci, to podaję ci projekt, którego przyjęcie będę uważał za wielką z twój strony przysługę, za którą będę ci niezmiernie obowiązany. Mam ja także syna, równego wieku z twoim; staram się aby edukacya jego szła gruntownie i porządnie, i Bóg mi dał nauczyciela, którego każdy ojciec może mi pozazdrościć, pełnego nauki i najuczciwszych zasad. Ale usiłowania nasze nie biorą takiego skutku, jaki osiągnęlibyśmy niewątpliwie, gdyby mój Staś nie był sam jeden, gdyby miał obok siebie towarzysza, któryby go pilnością swą zachęcał, a swym postępiem podniecał jego ambicyę i ochotę utrzymywał. Otóż proszę cię jak najusilniej panie Sebstyanie, aby twój starszy syn wychowywał się z moim. Nie będzie on dla nas żadnym ciężarem; owszem, z tego com ci wyżej otwarcie powiedział, widzisz dostatecznie, że się stanie ułatwieniem, ulgą i pomocą w tém, co jest najwa-

źniejszém życia naszego zadaniem. Bądź więc łaskaw nie odrzucaj mojej prośby, i wierz, że choć się mniej znamy niżby należało, zawsze jednak szacuję cię z całego serca, a nawet ten kaprys, który cię przed kilkunastu laty od nas odstrychnął, uważam za jeden przymiot więcej, który mię skłania, że pierwszy się do ciebie odzywam, i oczekiwać cię będę wraz z synem twym, upewnając cię zawczasu, że znajdziesz otwarte serce dla siebie i dla twego dziecka, i gotową do uściśnienia was rękę. Twój życzliwy krewny i sługa—Kazmierz Zabuzski.”

—JW. kasztelanie!—rzekł proboszcz wzruszony—tylko takie serce, jakim Bóg JWPana obdarzył, mogło natchnąć te delikatne słowa, które nie wiem kogoby nie rozbroiły i pokazały, że człowiekowi, co tak oszczędza serce mające przyjąć łaskę, można zaufać, że ta łaska będzie zupełną i wymówioną nigdy nie zostanie.

—Znam ja trochę pana Sebastyana—odpowiedział kasztelan uśmiechając się—i wiem, że z nim nie można inaczej. Harda to dusza, ale w moich oczach tym większego za to godzien szacunku. Pokrewieństwo choć dalekie, jest zapewne rze-

czą świętą i wkłada obowiązki, od których grzechem jest wyłamywać się i lekce je ważyć. Ale wieleż się to razy zdarza u nas, przy takiej nierówności fortuny pomiędzy krewnymi, że jeżeli jednemu uda się podnieść i porość w dostatki, czy przez pracę, czy przez jaki szczęśliwy przypadek, czy przez dobre ożenienie, to biedniejsi narzucają mu się gwałtem, założywszy ręce patrzą mu tylko w dłonie, a jeśli tyle nie da, żeby leżeć do góry brzuchem i żyć wygodnie, to go nazywają egoistą, i nie raz gniewem i gorzkiemi wyrzuty zatrują mu nie jedną chwilę i nareszcie zamykają serce jego zupełnie. Pan Sebastyan od pierwszej młodości polegał zawsze na sobie samym, i dla tego nawet usunął się od nas, i nie zbliżył się do żadnego z nas, abyśmy nie myśleli, że po to przyszedł, abyśmy mu co dali. Zasługuje więc na to, abym teraz z wszelką delikatnością przyszedł mu w pomoc, kiedy jej potrzebuje. I nie wiele mię to kosztowało tak napisać, jakem napisał, bo to jest rzeczywista prawda. Jego syn, jeżeli jest takim, jak mówisz księżu proboszczu, będzie prawdziwem dobrem dla mojego, który koniecznie potrzebuje bodźca i emu-

lacyi, bo ambicyą ma i bardzo wyprzedzać się nie da. Nie mam więc w tem takiej zasługi jaką mi przypisujesz. Twoja większa, księżu proboszczu, żeś się tém zajął, i dziękuję ci szczerze, że się tym sposobem obu nam dogodzi. Staraj się tylko, żeby stary nie skrupulizował jeszcze i teraz, i przywoził mi prędko syna.

— Spodziewam się— rzekł proboszcz, patrząc z zajęciem na piękną i szlachetną twarz człowieka, który się tak po prostu, a z taką prawdą tłumaczył, że najdalej za tydzień pan Sebastyan przyjedzie tu z synem. Domyśli się on zapewne, że ja na to kazanie dzwonił, i może mię sfuka, ale mniejsza o to, byle się rzecz zrobiła.

— Jeszcze jedno chciałem dodać— mówił kasztelan, biorąc małą paczkę, która przy liście przygotowana już leżała— ałem się bał wspomnieć o tém w liście, żeby całej sprawy nie zepsuć. Straty jakie pan Sebastyan poniósł w dobytku swym, chybiona ozimina i siano, jak mi mówił pan Orlicki, postawi starego w niemożności odania i drugiego syna do szkół. A szkodaby, bo to ma być także chłopak zdatny i żwawy. Nie mogę ja dać wiele, ale tu jest trzysta złotych,

które na opłacenie pierwszego półroczu wystarczą. Niech ksiądz proboszcz weźmie ten fundusik do swojej dyspozycji, i niby od siebie pożyczycy panu Sebastyanowi, jak przyjdzie pora, a nie będzie miał innego zapasu. Jeżeli to później odda, to proszę przyjąć, ale zawsze trzymać to u siebie na wszelki przypadek gwałtownej jakiej jego potrzeby. Przyszłą ja potem księdzu proboszczowi i więcej trochę, co bądź łaskaw zawsze na ten cel chowaj, i zrób się niby kapitalistą—dodał z uśmiechem—pożyczającym bez procentu.

—Sto za sto odda Pan Bóg JW. panu—rzekł proboszcz.

—Takiemu przyjacielowi należy się więcej i czci od ludzi i błogosławieństwa od Boga—rzekł kasztelan ściskając rękę proboszcza, który z rozrzewnienia nie zdobył się na odpowiedź. Nie zostanie ksiądz proboszcz z nami na obiedzie?

—Oh! dziękuję JW. panu—odpowiedział stary—ale pośpieszać muszę do domu. Ba nawet chciałbym mieć skrzydła, żeby co prędzej dolecieć.

—Rozumiem i tę niecierpliwość i nie nalegam—mówił kasztelan—ale 12go sierpnia ma-

my tu odpust w naszym kościółku; jeżeli nie nie przeszkodzi, to serdecznie proszę przybyć do nas i odśpiewać nam summę.

Ksiądz Maciej przyrzekł z wdzięcznością, pożegnał zacnego człowieka, który go ujął i związał na zawsze, i nie spojrzawszy nawet na te wszystkie piękne rzeczy, które widział w pokojach, tak był uradowany i zajęty pomyslnym skutkiem swego poselstwa, udał się szybkim krokiem do mieszkania księdza Augustyna. Tam zastał obojgu swych przyjaciół, za których pośrednictwem wszystko mu poszło jak z płatka i zrobiło się więcej, niż nawet mógł marzyć. Przywitali go oba z uśmiechem, wiedząc naturalnie, jak się rzecz odbędzie, a on dziękował im z całego serca i mówił z zapałem o przyjęciu jakiego doznał, o uprzejmości, rozumie i sercu kasztelana, o którym pan Orlicki, jak się wyraził ksiądz Maciej, nie powiedział mu wczoraj i połowy tego, co opowiadać należało.

Wkrótce przyniesiono nie wielkie, ale smaczne śniadanie, którym nasz proboszcz opatrzył się na drogę, i pożegnawszy zacnych ludzi, któ-

rych pokochał, i piękne Zabuże, gdzie tyle serdeczniej doświadczył radości, wsiadł na bryczkę i trochę niby na bakier nasunawszy rogatą swą czapkę, ruszył do domu. W ciągu drogi ułożył sobie cały planik, jak postąpi w zakomunikowaniu téj nowiny, którą uważał za tak pomyslną i stanowczą; a że przyjechał jeszcze za dnia, i miał czas rozmówić się z Błazejową, wydał więc na jutro stosowne rozporządzenia, i gdy się wszystko uspokoiło, usiadł w poetycznym niby usposobieniu przy swym stoliku i następny zapraszający liścik do sąsiada swego napisał:

Gdy chłód i twardo, miły sąsiedzie!
 Jedzie się dobrze i prędko jedzie;
 A w skwar lipcowy, noga za nogą,
 Wlec się mil kilka piaszczystą drogą,
 To taka męka, że jej nikomu
 Nie życzę; lepiej niech siedzi w domu.
 Lecz złe, gdy minie, jakoś mniej boli.
 Nawet o przeszłej wspomnieć niedoli
 Miło jest człeku, bo go nie smuci
 Ta myśl, że bięda znowu powróci.
 I mnie dziś lekko, serce coś rade,
 Gdyż wiem, że jutro już nie pojedę;
 Ztąd i koncepta dobre się rodzą.
 Ot! przyjdź, sąsiedzie, i niech przychodzą

Chłopczy, i ciotka niech swą pończochę
 Weźmie i w chłódku podrobi trochę.
 Zapraszam wszystkich na podwieczorek,
 Na jaki stanie i co ma dworek.
 Uczta jak uczta— nie będzie wiele.
 Lecz się murawa u nóg rozściele,
 I lipy swoim szumném sklepieniem
 Zewsząd nas zdrowém otoczą cieniem.
 A gdy sprzątnąwszy księżę przysmaczki,
 Pójdą swywolić kochane żaczki,
 My pogawędzimy sobie po cichu
 Przy chłodném piwku, lub przy kielichu
 Starego miodku, choć Błażejowa
 Gdzieś go w sekrecie pod kluczem chowa.
 Lecz dziś w humorze organiścina;
 Nie laje męża, nie bije syna,
 A ztąd i dla mnie niezła otucha,
 Że się uśmiechnie i udobrucha,
 I wydobędzie z kryjówki trunek,
 Co ojcom z czoła spędzał frasunek,
 Co i nam, gdy go użyjem w miarę,
 Przyda wesela na godzin parę.
 A jak tam dalej rzeczy się złożą,
 To już zostawmy na wolę bożą.
 Ten co dał chmury, i słońca doda,
 Bo w jego ręku dęszcz i pogoda.

Wypolerowawszy dobrze sens i rym, i odczy-

tawszy parę razy głośno i niby z deklamacją, wpisał ksiądz Maciej swój wierszyk do dużej księgi, w której był już ich zbiór niemały, i która miała tytuł: »Rymy ulotne i inne przygodne a składne, jak się zdarzyło, zabawki przez księdza Macieja Zielenkowskiego, proboszcza Sawińskiego, i w témże mieście Sawinie po większej części spisane.» Potém przepisał je oddzielnie, zapieczętował, i postanowił raniutko odesłać według adresu. Widać, że ksiądz Maciej był bardziej kontent ze swęj pracy, niż kasztelan z koszlawego palca, bo mu ta zgryzota artystyczna, która tamtemu spać nie dawała, nie przerwała snu aż do rana.

Pan Sebastyan, który nie wiedział dokąd proboszcz jeździł i nie domyślał się weale, że w całej drodze był nim tak serdecznie zajęty, zadziwił się trochę poznawszy ze słów przyjaciela, że jest w dobrym humorze, i sądząc, że mu się coś pomyslnego zdarzyło, niecierpliwie oczekiwał chwili podwieczorku, żeby się z nim podzielić radością, której sam miał tak mało. Gdy więc przyszedł z panną Teresą, staranniej niż zwykle ubrana, i z chłopcami, którzy niecierpliwiej jesz-

cze, niż on, wyglądali tych przysmaczków, o których ksiądz Maciej pisał, postrzegł na twarzy proboszcza, którego już zastali pod lipami, że w rzeczy samej jest coś, co ma na sercu, i z czém nie długo ukrywać się potrafi. Ścisnąwszy więc jego rękę i siadając za przygotowanym już stołem, na którym stała i buteleczka wydobyta z pod klucza pani Błażejowej i lampeczki do miodu, gdyż kielich w liście znajdujący się, był tylko dla rymu, rzekł:

—Cóż się to stało księżu Macieju, żeś nam, mosanie, znikł, nie powiedziawszy nikomu dokąd i po co jedziesz, abysmy wiedzieli, czy cię jaki kłopot, czy co pomyślnego wyciągnęło z domu? Ale dzięki Bogu, widzę, że pierwszego nie ma i nie było, kiedy i traktujesz powróciwszy, i nadto ładnymi wierszami na traktament zapraszasz.

—To, to, to!— odpowiedział proboszcz uśmiechając się— takie to i wiersze, taki i traktament. Zwyczajnie kantyczkowa poezya i księżu przysmaki. Ale proszę, proszę, bo serce lepsze niż rymy i niż kureczęta, które się coś dziś nie udały. Ale śmietana świeżutka i chłodna, a i pi-

rożki będą zapewne dobre, bo to moja Błażejowa szczęśliwsza w tej mierze, niż my, co piszemy czasem wierszyki. Nam się dziś udadzą, a jutro nie, jej zaś pirożki zawsze doskonałe. No chłopcy! bierzcie się do dzieła. Kiedy się uczyć to uczyć, a kiedy jeść to jeść. Do wszystkiego trzeba się brać z ochotą, wyjąwszy do tego, co serce i sumienie potępia. Panie Sebastyanie! nie patrz no tak na mnie, a weź się do tej oto połówki z pępuszkiem, a ty panno Tereso, do tej z wątróbką, a śmietany nie żałujcie, bo jest dzięki Bogu dosyć. O mojej zaś podróży powiem teraz tylko tyle, że mi się udało, i lepiej nawet niżelim się spodziewałem; reszta potem, jak sobie podjemy, i zapijemy miodkiem, który wydobyłem przecież z karceresu, w którym go trzymała organiceina jakby w jakim Szpilbergu, gdzie pono jak wrzuca więźnia, to o nim i zapominają.

Pan Sebastyan patrzył w rzeczy samej niby z podziwieniem na rozjaśnioną twarz księdza Macieja, który jakoś i mówniejszym się zrobił, kiwnąwszy więc głową i biorąc kureczkę i śmietanę, rzekł:

— Chwałaż Bogu! że ci się udało księżę Ma-

cieju! coś zamierzył, i żeś nam wrócił zdrów i wesół, chociaż spiekłeś się na słońcu.

—Bo w skwar lipcowy, noga za nogą, wlec się mil kilka, piaszczystą drogą, to wielka męka— rzekł Ignas śmiejąc się i patrząc filuternie w oczy proboszczowi.

—To, to, to!— zawołał uradowany proboszcz klepiąc chłopca po rumianej twarzy— więc i ty czytałeś! i zapamiętałeś— widzisz go? aj! chłopcy, chłopcy.

—I ja księżę proboszczu czytałem— odezwał się Eugeniusz— i także zapamiętałem.

—No! cóżes ty zapamiętał? ciekawy jestem— zapytał ksiądz Maciej.

—Wiele zapamiętałem— odpowiedział Eugeniusz spojrzawszy poważniej i z uśmiechem, w którym nie widać było pustoty dziecińskiej— ale powiem tylko to:

Uczta jak uczta— będzie nie wiele;

Lecz się murawa u nóg rozściele

I lipy swoim szumnym sklepieniem

Zewsząd nas chłodnym otoczą cieniem.

A także koniec księżę proboszczu:

A jak tam dalej rzeczy się złożą i t. d.

— Otóż widzicie państwo— mówił uradowany autor, że go na pamięć umieją i cytują— co to on spamiętał, i co mu się podobało! Dobrze chłopczykowi, dobrze!— dodał głaszcząc go po głowie. Widać że wierzysz, iż wszystko mamy z rąk Boga, i dobre i złe, że zawsze i wszędzie dzieje się tylko jego święta wola, której z pokorą poddać się powinniśmy. Jeśli umiesz: *Kto się w opiekę*, to wiész, że kto ufa i wierzy, na lwa srogiego bez obrazy wsiedzie, i na ogromnym smoku jeździć będzie. Pamiętajże o tém zawsze, abyś był ufnym i stałym, jak przyjdzie co złego, a pokornym i wdzięcznym, jak cię co szczęśliwego spotka, bo to wszystko od Pana Boga.

Eugeniusz pocałował go w rękę, dziękując za naukę, a ksiądz Maciej spójrząwszy na myślącą twarz chłopczyka, pomyślał: szkoda, że pana Orlickiego nie ma! i obracając się do panny Teresy, którą to przywiązanie jego do siostrzeńców, za którymi przepadała, do łez rozrzewniło, rzekł:

— To, to, to! panna Teresa już i płacze!

— Takie łzy księżę proboszczu, nie szkodzą— odpowiedziała uśmiechając się.

— Szkodzić nie szkodzą, — odpowiedział ksiądz Maciej — ale jak zaczną lać się na talerz to będą piérożki z długim sosem, jak czasem szczupaka dają.

Ten koncept proboszcza rozweselił wszystkich, nawet pan Sebastyan, którego tkliwość panny Teresy często niecierpliwiła, uśmiechnął się i swoje słówko dorzucił. Panna Teresa tłomaczyła się, a ztąd poszła rozmowa to o tём, to o owém, póki się podwieczorek nie skończył. Gdy talerze i półmiski były już prawie czyste, rzekł znowu Ignas figlarnie patrząc na księdza Macieja:

— A teraz zaczki pójdą swywolić. Jak ksiądz proboszcz napisał, tak powinno być co do joty.

— Naturalnie, naturalnie — mówił ksiądz Maciej — co się wam należy, tego wam nikt nie odbierze. Przysmaczków już nie ma, więc nogi za pas, i dalej.

Ignas pociągnął brata za połę, oba pocałowali księdza w rękę, dziękując za podwieczorek i pobiegli. Wtedy proboszcz dodał:

— Oj! panie Sebastyanie! takie ci Bóg dał dzieci, że gdyby je jaki król miał, toby je pe-

wnie więcéj cenił, niż wszystkie brylanty swojej korony.

— Wiem ci ja o tém co one warte— odpowiedział pan Sebastyan wzdychając— i wiem także, coby warte były, gdybym mógł dopomódz ich rozumowi do wzrostu i do rozwinięcia. Ale trudno, trzeba się podobno wyrzec téj nadziei, i pilnować tylko, aby zdrowo i bez zepsucia wyrosli ciałem i nauczyli się wydobywać pożywienie z roli, kiedy inszego sposobu do życia dać im nie mogę.

— To, to, to!— zawołał proboszcz nalévając miód w lampeczkę i podając ją sąsiadowi— kto tam wie, jak tém wszystkiém Pan Bóg rozrządzi. Dzieją się często rzeczy niespodziewane, i nie przychodzi czasem człowiekowi do głowy, z której strony promień słońca zabłyśnie. A zdarza się i to, że kiedy człowiek zwątpi zupełnie i ma rzecz jaką za przepadłą, aż tu ona ni ztąd ni z owąd znajdzie się w jego ręku. To właśnie w tych dniach i mnie się przytrafiło, i ztąd to ów dobry humor, który we mnie postrzegłeś, panie Sebastyane, a który w rzeczy samej rozjaśnił moje myśli i rozweselił serce. Choć prawdę

powiedziawszy nie dla tego, że się mnie udało, bo jest rzecz drobna i nie wiele znacząca, ale że ztąd biorę otuchę, że i w innych ważniejszych troskach może przyjść niespodziewana pomoc i ułatwienie, o jakimś człoku ani myśli.

— Cóż to ci się zdarzyło, księżu Macieju — zapytał pan Sebastyan. Proboszcz uśmiechnął się, kontent, że tak sztucznie rzecz obwija w bawełnę, i odpowiedział:

— Ot, miałem kilkaset złotych u jednego dłużnika pod Dubienką. Lat to już temu ze sześć, jak te pieniądze trzymał u siebie i nie oddawał, choć częste pisałem listy. Miałem już sumkę moją za przepadłą i już myślałem sobie: cóż robić! nie odda, to już ci pozywać nie będę. Inie tak mi żal było pieniędzy, jak opinii, jaką miałem o uczciwości człowieka, i ztem mu zawierzyl. Ale jakoś to się o tem zapomniało, i ani dług, ani dłużnik nie przychodzili mi do głowy. Aż tu przed kilku dniami stanął mi w myśli pan Cypryan jak żywy, i tak się mnie oczepił, ztem go się pozbyć nie mógł. Co to może znaczyć, myślę sobie, gdy mi się to już uprzykrzyło? Czy nie umarł, lub czy nie jaki to instynkt, że-

by się znów upomnieć, a odda. To ostatnie ja-koś mi więcej przemawiało do przekonania. A że już tyle razy pisałem daremnie, myślę sobie znowu: przez posły wilk nie tyje, pojedę lepiej sam. Otóż tak postanowiwszy, wsiadłem i pojechałem. I wyobraź sobie panie Sebastyanie, sprawdziło się. Od pierwszego słowa poszedł do kantorka i z wielkimi przeprosinami za zwłokę wyliczył mi pieniądze.

— Winszuję ci księżu proboszczu!— rzekł pan Sebastyan patrząc bystro w oczy przyjacielowi, który spuścił swoje i wzroku jego wytrzymać nie mógł, zawstydzivszy się tej improwizacyi, chociaż źródło jej było tak pocziwe i szlachetne. Po krótkim milczeniu, proboszcz znowu rzekł:

— Na noc przyjechałem do Zabuża, ponieważ tamtędy droga lepsza i karczma porządna. Co to za śliczny majątek, panie Sebastyanie! a jak to tam wszystko okazałe i piękne! jest na co spojrzeć.

— Kasztelan, to człek bardzo porządny, i lubi żeby koło niego było wszystko ładne i z pańska— mówił pan Sebastyan bez żadnego śladu jakiejś

niechęci lub pretensyi za to, że tamten bogatszy. A i żona jego, choć to jak wiem, kobieta harda i pyszna tą mitrą pod którą się urodziła, ale ma być także dobra gospodyni i pani z gustem, w czém dobrała się z mężem. Nie byłem ja tam wprawdzie już lat z ośmnaście, bo to za wysokie progi na moje nogi, ale słyszałem, że i dom i ogród przyprowadzili do wielkiej okazałości. A choć to tak blisko, i choć wiem, że pan Kazimierz przyjąłby mnie i grzecznie, a może i z sercem, gdyż znam go z téj strony, ale mnie jakoś ciekawość nie bierze. Boję się mospianie, jejmości, przed którą pono mąż zwiija chorągiewkę i rządzić się jój, jak szarój gęsi, pozwala.

—Jakie między niemi stosunki, tego nie wiem— odpowiedział proboszcz. Ale co do kasztelana, to powiem ci panie Sebastyanie, że to jest człowiek taki, jak daj Boże, aby wszysey nasi panowie byli. Co to za grzeczność, co za sposób przyjęcia i zobowiązania, tego wypowiedzieć nie zdołam.

—Więc poznałeś go, księżę Macieju?— zapytał pan Sebastyan ciekawie.

--Przypadkiem— odpowiedział proboszcz, znowu spuszczać wzrok do ziemi— przyjechałem jeszcze za dnia, i ciekawość mię wzięła obejrzeć ogród, przypatrzeć się domowi i zblizka obaczyć kościół, który mię z daleka zastanowił i formą i nowością. Otóż w ogrodzie spotkałem kasztelana. Szedł z synkiem, z jego nauczycielem i z kapelanem. Sam do mnie zagadał, zapytał zkąd jestem; a gdym mu powiedział, że z Sawina, uprzejmie mnie powitał i poszliśmy już razem rozmawiając tak, jakbyśmy się od dziesięciu lat znali. W ciągu tego spaceru i pokazywania mi najpiękniejszych miejsc i widoków na Bug i drugi brzeg jego, wszczęła się rozmowa o tobie panie Sebastyanie.

— O mnie? a toż zkąd i na co?— zapytał pan Sebastyan.

— Po prostu z interesowania twojém zdrowiem i powodzeniem— odpowiedział ksiądz Maciej. Kasztelan rozpytywał się, czy ci ta usilna praca, za którą notabene mocno cię szacuje, nie ciąży, czy jój siły twego ciała wystarczają, bo co do hartu duszy, dodał, to wiem, że ten mu dopisze w każdém zdarzeniu; zapytywał o twoich chłop-

ców, i musiałem mu ze szczegółami opowiadać o ich wieku, zdolnościach, wychowaniu i t. d. Ja trochę rozgadałem się, bo to wiiesz, jak to dla mnie miła materya, i mogę cię upewnić, że kasztelan słuchał mię z największą uwagą. Ale nie tylko on, i ów nauczyciel, człek poważny, i jak potem dowiedziałem się uczony i gorliwy, słuchał mię pilnie i różne nawet dotyczące się dzieci twych zadawał mi kwestye. Gdym skończył, i zaczął mówić z kapelanem tamtejszym, wtedy ów nauczyciel wziął kasztelana na bok i coś z sobą długo rozmawiali. Nazajutrz po mszy świętej, którąm w kościółku tamtejszym odprawił, zaprosił mię kasztelan do siebie, i *de noviter* wszczął rozmowę o tobie i o twoich dzieciach. Ale ot masz tobie!— dodał proboszcz uderzając się w czoło— zagadałem się, a o najważniejszej może w tém wszystkiem rzeczy zapomniałem. Kasztelan dał mi list i bardzo mię obligował, abym się przyczynił, żeby ta prośba, którą tu do ciebie zanosz, skutek swój wzięła. Weź to panie Sebastyanie, przeczytaj, i daruj, żem nie od tego zaczął.

— Prośba pana Kazimierza do mnie? Cóż to

znowu gadasz księżę Macieju— odpowiedział zdziwiony i niespokojny szlachcic, nie wiedząc co ma o tém myśleć. Ale proboszcz nie nie odpowiadając, wetknął mu list w ręce, a sam odwrócił się odsapnąwszy, jakby po ciężkim trudzie, i ocierając pot z czoła, jakby z gorącej łaźni wyszedł.

Pan Sebastyan zaczął czytać, ręce mu drżały i widać było wzruszenie na jego twarzy; a gdy skończył, położył list na stole, wsparł głowę na rękę, i łzy zaczęły padać na papier, który przed nim leżał. Proboszcz patrzył z daleka; a widząc, że to właśnie chwila, w której żelazo rozgrzało się do czerwoności i że się da ukuć, przystąpił i rzekł:

— Cóż to tam takiego kasztelan napisał, panie Sebastyanie, że cię tak dotknęło?

— Ale pan Sebastyan nie nie odpowiadając, popatrzył nań tylko wzrokiem, w którym był wyraz czy żalu, czy wdzięczności, i schowawszy list, ścisnął mocno rękę proboszcza i poszedł. Na drugi dzień w czasie mszy uważał ksiądz Maciej, że klęczał jak zwykle wraz synami i gorąco się modlił. A gdy się msza skończyła długo

jeszcze nie wychodził z kościoła, dopiero gdy proboszcz skończył śniadanie, przyszedł pod lipy i obok niego usiadł. Twarz jego była spokojna i poważna, ale nie widać w niej było nieukontentowania, którego się zacny ten przyjaciel obawiał. Po chwili milczenia wziął rękę proboszcza i rzekł:

— Księżu Macieju, nie odpowiedziałem ci wczoraj, jak może należało, bo mię i twoja przyjaźń i postąpienie P. Kaźmierza przyprowadziło do takiego stanu, w którym człek nie jest panem swego serca i swego języka, i może powiedzieć albo za wiele, albo za mało. Zostawiłem sobie czas do reflexyi i rozważenia, czy to, co mię spotyka mam uważać za łaskę i miłosierdzie Boże, czy tylko za pokusę ulżenia sobie kosztem dziecka, które mi Bóg dał nie na to, abym je pozbywał z domu i rzucał między obcych ludzi. Ale zastanowiwszy się, że wszystko to pochodzi od ciebie, ks. Macieju, żeś umyślnie po to jeździł, abyś mi tę ulgę zrobił, bo nie zapieraj się, gdyż nie zwiedzisz mię temi manowcami, po których chodziłeś wczoraj, że zatém musiało ci to przyjść do głowy z natchnienia bożego, bo przyszło z na-

technienia tój przyjaźni, która nie może z kąd inąd pochodzić tylko z nieba i ma źródło święte a żadnym widokiem ziemskim nieskażone, poddaję się tój konieczności, która mię uciska i przyjmuje łaskę pana Kazmierza. Ciężkieć to wprawdzie dla mnie słowo, ale widać, że i w tём jest wola boża, kiedy i ten ciężar na plecy moje wkłada, i stawia mię w takiém położeniu, że muszę dziś cudzej użyć pomocy, chociaż miałem to zawsze za obowiązek i za cnotę stać na własnych nogach i radzić sobie w każdym zdarzeniu własnymi siłami. Nie odrzucam tedy tój pomocy, abym nie zgrzeszył dumą i znowu kosztem własnego dziecka nie dogadzał swojej ambicyi. Dwie wszakże okoliczności wstrzymują mię od ostatecznej deeczyi. P. Kazmierz, według dobroci i zaeności swego serca, bo wiem że serce jego dobre i zacne, osłodził to lekarstwo, które mi w tój potrzebie mojej podaje, i łaskę jaką mi świadczy, nazywa przysługą z mojej strony, za którą nie ja jemu, ale on mnie ma być obowiązany. Nie jestem ja tak w ciemie bity, abym się na tём nie poznał, chociaż znowu nie jestem tak zatwardziałym, abym nie uczuł ile warto takie szczędzenie bolącego

serca. Jednakowoż powiedz mi ks. Macieju, gdyż musiałeś się tam przypatrzeć bliżej tym okolicznościom, czy w tém wszystkiém jest choć i cieni prawdy, i czy w rzeczy samej chłopiec mój może się tam na co przydać synowi P. Kaźmierza.

Tu proboszcz nie potrzebując już żadnych ostróżnych omówień, szczegółowo i z całą prawdą opowiedział P. Sebastyanowi, jak się rzecz miała, że projekt oddania Eugeniusza na wychowanie do domu kasztelana nie wyszedł od niego, ale od nauczyciela, którego charakter, umiejętność oraz znaczenie i ufność, jakie tam ma, obszerniej opisał; że wezwany do kasztelana, zastał już wszystko ułożoném i list gotowy; że równie ze słów P. Orlickiego, jak i ze słów samego kasztelana powziął najgruntowniejsze przekonanie, że bytność tam Eugeniusza i tę emulacyą, jaką jego usposobienie i pilność zrodzi, uważają oba za rzecz niezbędną, że zatem przysługa ze strony P. Sebastyana, jeżeli tam odda syna, nie jest tylko prostą delikatnością i okryciem świadczonej łaski, ale stanie się rzeczywistą i prawdziwą przysługą. Ten wywód i te racye, którym ks. Maciej nie potrzebował dawać piętna prawdy, gdyż były istotną

prawdą, uspokoiły P. Sebastjana. Rzekł więc znowu:

— Teraz powiedz mi ks. Macieju, czy wszystko to stało się za wiadomością, wolą i zezwoleniem kasztelanowej?

Proboszcz uczuł, że to jest kwestya drażliwa, której niezaspakajające rozwiązanie może cały jego budynek wyrzucić do góry nogami. Nie tracąc jednak głowy i nie lękając się, aby przydłuższem cokolwem wyłożeniem znudził swego słuchacza, zaczął znowu od szczegółów tej rozmowy, jaką miał z P. Orlickim i ks. Augustynem; powtórzył w głównych rysach obraz kasztelanowej przez nauczyciela skreślony; a nie usuwając z niego jej dumy rodowej i przewagi, jaką ma nad mężem, rozwodził się więcej nad jej dobrmi przymiotami, a szczególnie nad tem, jak gorliwą i rozumną jest matką. Dodawszy nadto tę okoliczność, że P. Orlicki nieraz już z nią o potrzebie tej emulacyi mówił, że ona sama uznawała jej konieczność, że położył jej nawet za warunek dalszego pozostania w ich domu, aby do syna swego przybrali zdatnego towarzysza, zrobił ten wniosek, że kasztelanowa, dowiedziawszy się o wyborze męża, nie

weźmie mu za złe, że się bez niej rozporządził, ale owszem, okaże się wdzięczną i wartość takiego dziecka, jak Eugeniusz niewątpliwie oceni.

— Być to może, że tak będzie jak mówisz, ks. Macieju — rzekł P. Sebastian. — Chociaż to jest także prawdą, stwierdzoną doświadczeniem, że kobiecie, przywykłej do samowolności nikt niedo-
godzi, tylko ona sama. I żeby mąż, którym na-
uczyła się rządzić, i nieba jej przychylił, to ona i
z tego nieba nie będzie kontenta. Ale kiedy Bóg
miłosierny tak te rzeczy złożył, że właśnie w tej
porze, kiedy mię taka przycisnęła niedola, po-
kazała się tak nagląca potrzeba i tam, gdzie bieda
nie zagląda, to zapewne i tę trudność usunie, a
może i jej serce dla dziecka mego skłoni. Niech
się więc dzieje wola jego święta. Oderwę od
mego łona ten klejnot, który do niego przyrósł;
a ty zaeny przyjacielu prześlij przy ołtarzu Pań-
skim modlitwę do Boga, tak czystą i gorliwą jak
twoja przyjaźń, aby ten polor, jaki temu klejno-
towi memu cudze ręce dadzą, był takim, jakiby
mu dała miłość ojca, gdyby był w stanie powin-
ności swęj dopełnić. Dziękuję ci tedy ks. Ma-
cieju! — i wziął jego rękę i drżąc cały ścisnął

ją w swoich, a proboszcz płakał, widząc wzruszenie tego żelaznego człowieka, i czując ile cierpieć musi to serce, kiedy hart jego pęka i bolu pokonać i utaić nie może.

Piątego więc dnia, po dostatecznym opatrzeniu sukienek i bielizny, po ułożeniu i uporządkowaniu książeczek i seksternów, nie bez potoków łez ze strony P. Teresy i propozycyi, aby Ignas jechał nie Eugeniusz, jako zdrowszy, weselszy, i mniej przypominający matkę; nie bez rzewnego płaczu obu chłopców, którzy się raz pierwszy w życiu rozdzielali, pojechał Eugeniusz z ojcem, ustrojonym w paradną swą suknię, smutnym, ale oswojonym już z tém cierpieniem, któremu milczenie nakazał.

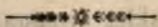
Kasztelan przyjął go otwartemi rękami, sercem braterskiem i tą właściwą mu uprzejmością, z której usunął wszelki ślad owej pańskiej łaskawości dla niższych, często gorszej od dumy i zimnego obejścia się. Eugeniusza, który mu się bardzo podobał z piękności, ułożenia i odpowiedzi, karesował i ośmielał. Zaraz kazał poprosić P. Orlickiego i ks. Augustyna, i zarekomendował im i ojca i nowego ich ucznia. Stasiowi polecił po-

znać się prędko z kolegą i krewnym, być dla niego grzecznym, kochać go i naśladować w jego pilności i postępowaniu. Słowem, wszystko obeszło się tak, jak tylko można było żądać i spodziewać się po człowieku tak dobrym i tak wychowanym. Uspokajało to P. Sebastyana i ośmielało Eugeniusza, póki ojciec był obecnym. Ale zaraz po obiedzie, P. Sebastian pożegnał kasztelana, polecił dziecko swe P. Orlickiemu, a gdy go zacny ten i wchodzący w położenie takiego ojca, człowiek, odprowadził wraz z Eugeniuszem do karczmy, a konie już były założone i parobezak siedział na koźle, stary pochwycił syna swego w objęcia, utulił go przy piersiach tak, jak gdyby go już nigdy widzieć nie miał, i wskoczywszy na bryczkę w milczeniu, nie obzierając się nawet pojechał.

Powrócił więc Eugeniusz do pałacu z nauczycielem, który starał się go rozrywać rozmową i wypytywaniem się, co umie i jak daleko w każdym przedmiocie postąpił. Tłumił w sobie chłopak żal i odpowiadał z całą przytomnością. Wieczorem poszedł na spacer ze wszystkimi, a choć widział, że Staś nie poufali się z nim, i zimno i hardo mu odpowiada, nie poddawał się jednak i krzepił się jak

mógł, aby go nie nazwano mazgajem, który nigdy ludzi nie widział. Gdy się ciemno zrobiło i wszyscy mieli iść spać, zaprowadzono Eugeniusza do dużego pokoju, gdzie miał tymczasowo nocować, nimby stancya przy mieszkaniu P. Orlickiego urządzona była. Sługa zasał mu łóżeczko, zdjął buciki i mundurek do wyczyszczenia i poszedł. Wtedy dopiero roztropny i myślący Eugeniusz, gdy mu nikt nie przeszkadzał, gdy nikt na niego nie patrzył, zaczął rozmyślać o położeniu swém i o tém wszystkiém, co widział. Otworzywszy okno i patrząc na księżyc pływający nad Bugiem i łamiący się w jego falach, zaczął on porównywać przeszłość z terażniejszością. A gdy wyobraził sobie w myśli ten wspaniały i wielki dom, te obce twarze, które na niego jakoś zimno i bez miłości patrzyły, gdy mu się potem przypomniał dworek ojcowski i probostwo, i jak tam było wszystko swojskie, wszystko znane, a choć drobne i proste, ale tak miłe, tak tkwiące w sercu i w myśli, gdy wspomniał o ojeu, o ks. Macieju, o cioci Teresi, o wiernym i nieodstępnym towarzyszu każdej pracy szkolnej, każdej zabawy, każdej swywoli, o serdecznym swym i ukochanym Igna-

siu, wtedy głośnym zapłakał płaczem, wyciągał ręce do płynącego spokojnie księżycyca i duszą rozboleła wołał do siebie tych wszystkich, których nie było, a których tak serdecznie kochał. Ale nikt nie odpowiadał na to jego rzewne wezwanie. Drzewa tylko z daleka szumiały, wiatr poruszał materyalną firanką u okna, a w ogromnym pokoju było pusto i głucho. Wstrząsł się więc biedny chłopeczyna, czując się tak osamotnionym, zamknął okno i upadłszy na kolana modlił się długo i gorąco. Modlitwa ukoiliła cokolwiek jego troskę, a sen dopełnił reszty. Rzuciwszy się na łóżko jak był ubrany, utulił twarz w poduszkę, którą jeszcze łzy moczyły, zasnął prędko snem trzynastoletnim i spał smaczno i twardo aż do rana.



V.

P ▣ Sebastyan wrócił do domu smutny i przygnębiony. Krótko i nie wdając się w szczegóły, odpowiadał zapytującym go, jak zostawił syna, jak go przyjął kasztelan, jak znalazł nauczyciela. P. Teresę zbył kilku słowami, dodając, iż się pokaze, co z tego będzie; proboszczowi zaś, niechęć mu psuć téj radości, jaką w nim widział, że się robota jego udała, mówił tylko, że mu kasztelan okazał serce braterskie, że pana Orlickiego znalazł człowiekiem gruntownym, dobrym i że mu się zdaje, iż to dziecku jego wyjdzie na dobre. Proboszcz jednak zmiarkował, że ta konieczność, w której się znalazł, złamała go, że się uczuł upokorzonym, i że w ogóle chciałby był zapomnieć o tém, co się stało. Nie wszczynał więc już rozmowy

o Eugeniuszu, ale zajmując się codziennie z Ignasiem powtarzaniem lekcyj i wprawą w pisanie po polsku, wychwalał ciągle jego pilność i zdatność, a gdy się wakacje zbliżały do końca, nie przestawał mówić o koniecznej potrzebie wysłania go do szkół, gdyż grzechem by było, aby tak zależał pole. Czuł to P. Sebastyan i sam, ale obracujący swoje środki, wątpił, czy będzie mógł zadość uczynić tej potrzebie i zaspokoić gorące serce swego życzenie. Wtedy proboszcz z ogródką i z największą ostrożnością zaczął napomykać o zasiłku, który u niego leżał; rozwodził się o przyjaźni w ogóle, dowodząc, że wyższe jej znaczenie objawia się dopiero wtedy, kiedy można pospieszyć z pomocą przyjacielowi; że kiedy Bóg skruszył serce jego mniemanego dłużnika, że oddał to, co on miał już za przepadłe i bez czego się doskonale obchodził, to jest znak, że darowanej tej sobie sumki na swoją potrzebę użyć nie powinien, i nie użyje, ale uważa ją i uważać będzie za środek, który Opatrzność złożyła w jego ręce, aby spieszył z pomocą tam, gdzie ona jest istotnie i gwałtownie potrzebną. Takimi i tym podobnemi perswazyami skłonił wreszcie proboszcz

P. Sebastjana, że wziął od niego trzysta złotych sposobem pożyczki, obowiązawszy się oddać najdalej za rok, które na ulokowanie Ignasia w Hrubieszowie, gdzie miał szkołę powiatową ukończyć, użyte zostały.

Tym tedy sposobem oba bracia mieli zabezpieczoną dalszą edukacją, i postawieni zostali na dwóch odmiennych drogach, które gdzie i jak ich zaprowadzą, to się w dalszym ciągu opowiadania naszego pokaże.

Żal Eugeniusza prędko przeminał. W młodym wieku szybko się zacierają wrażenia przeszłości, chociaż nie giną wcale. Umysł dziecka jest tak giętki, tak wrażliwy, że wszystko, co je otacza, wybija się na nim żywem i silnem piętnem, i pokrywa dawniejsze wrażenie nową i jaskrawą warstwą. I tak jest póty, póki dla człowieka obecna chwila jest droższą jak przeszłość, póki oko jego patrzy ciągle w godziny, które nadchodzą, a nie cofa się myślą do tych, co już upłynęły i zatarły się niby na zawsze. Ale im bardziej człowiek zachodzi w lata, im mniej mu obiecuje dzień jutrzejszy, im droższym się staje wczorajszy, tym żywiej w myśli swojej rozbudza minione smutki

i uciechy, tym chętniej sięga myślą coraz dalej i dalej, po za troski dójrzałego wieku, po za uniesienia młodości, aż do tych uciech i kłopotów dziecka, których osiemnastoletni młodzieniec nie byłby w stanie przypomnieć, a które siedmdziesiątletni starzec widzi tak jasno i żywo, że nieraz wspomnienie ich ożywia łąz jego przygasłe oko, lub uśmiech niewinnej radości na usta jego sprowadza.

Eugeniusz oswoił się wkrótce z tém wszystkiém, co go otaczało. A że umysł jego był z natury usposobionym do pokochania tego wszystkiego, co piękne, czyste i foremne, podobał mu się ten porządek, ta składowość i elegancya, której nie miał wyobrażenia, a wszystkie te rzeczy piękne i gustowne, w których sztuka myśl swą objawiła, uderzały jego oczy i silne na duszy jego robiły wrażenie. Chociaż nie wiedział i nie pojmował co mu się w nich podoba, dla czego mu tak miło na nie patrzeć, ale jak tylko odbył wszystko, co do niego należało i był wolnym, szedł do pustych salonów, przypatrywał się obrazom, admirował posągi z marmuru, których było kilka, dotykał kosztownych materyj, ciesząc się ich blaskiem,

ich farbą i wzorzystym deseniem, i wpajał w myśl swą formy zgrabne mebli, kandelabrow i innych sprzętów, które tam zamożność i gust właścicieli nagromadziły. Nie przychodziło mu nigdy do głowy, żeby cenić te rzeczy dla tego że kosztowne, ale lubił na nie poglądać i o nich myśleć dla tego jedynie, że ładne, że foremne, że cieszą jego oko i sprawiają mu jakieś wewnętrzne ukontentowanie z którego nie zdawał sobie sprawy. Takiego samego wrażenia doznawał i w ogrodzie i nieraz w czasie spacerów zamiast swywolić i biegać, szedł zwolna, lub siadał w najpiękniejszym miejscu i przypatrywał się z uwagą zielonym jak aksamit gazonom, różnobarwnym kwiatom, kształtnie ułożonym i pozaginanym kłębom i gaikom. Murawę piękną widział on i na probóstwie, przesłizne lipy ocieniały cmentarz Sawiński i dziedzińiec ks. Macieja, ale tam znalazło się zawsze coś brudnego i niekształtnego, co go raziło. Tu wszystko uporządkowane, obrobione, ułożone szykownie, zaokrąglone tak, że gaik zdobił zieloną płaszczyznę, że kwiaty podnosiły barwę murawy, że ścieżki czyściutkie wiły się łagodnie i ciągnęły za sobą oczy, że wszystkie budynki odpowiadały

swym kształtem i urządzeniem temu tłu, na którym się odbijały. Nie wiedział on i tu, co go zajmuje i cieszy, ale czuł, że mu tam dobrze i stopniami zapominał o probóstwie i dworku ojcowskim, a przynajmniej nie tak często o nich myślał i z mniejszą do nich rwał się tęsknotą.

Do tego uspokojenia przyłączyło się i zajęcie, któremu z właściwą sobie oddał się pilnością i zapalem. W wielu rzeczach Staś był dalej niż on posunionym, chociaż niektórych znowu nie umiał, tak jak on gruntownie i porządnie. Otóż chęć dopędzenia towarzysza w tém, w czém go wyprzedził, pokazania nauczycielowi i koledze swój pojętności, swój uwagi, silnie go zajmowała i nie dawała czasu tęsknić i płakać. A dzienniczek jego, gdzie było wszędzie *bardzo dobrze, bardzo pilnie, z chwalebną usilnością* i t. d. cieszył go tak, że ani chwili nie próżnował i żadną nie zajął się myślą, póki wszystkiego nie odrobił dokładnie, nie utkwiał sobie w pamięci należycie, nie przepisał czysto i foremnie, aby ten wyraz *bardzo* stawał koniecznie przy każdym zdaniu i sprowadzał mu pochwały P. Orlickiego, zachęcające słowo ks. Augustyna i karesy i

pogłaskanie kasztelana, który coraz widoczniejszą okazywał mu przychylność.

Wprawdzie te pochwały, które Eugeniusz ciągle odbierał, rozdrażniały z początku Stasia i czyniły go hardziejším. Ale gdy raz Eugeniusz, nie zrażając się jego zimnem obejściem i panieczowskiemi kapryсами, namówił go, że się z nim razem nauczy, i odkrył mu sekret, jakim sposobem lekyca prędko włazi w głowę, t. j. żeby na ten moment oddać się jój całkiem i o wszystkiem innem zapomnieć; a Staś przez ciekawość usłuchał i powtórzył raz nieźle, drugi raz jeszcze lepiej, za trzecim razem doskonale, i w dzienniczku swoim także *bardzo dobrze* otrzymał, znikła i ta jedyna przykrość jakiej Eugeniusz w domu krewnego doznawał. Wprawdzie Staś nie mógł mu zastąpić Ignasia, ale stawał się coraz grzeczniejszym, coraz poufalszym, i już nie patrzył nań z góry, lub z pewnym rodzajem zawiści, ale owszem zaczął się do niego garnać i nabierał coraz większej ochoty do pracy. Szło to zwolna i stopniami, jak wszelka przemiana na lepsze; nie zawsze panicz mógł przewyciężyć lenistwo, bez dąsania się jednakże i przycinków dawał się namawiać do wspólnego u-

czenia się, a nareszcie widząc, że mu to zawsze wychodzi na dobre, sam zaczął szukać jego pomocy i objaśnienia. Skutek ten pedagogicznie przewidziany przez P. Orlickiego cieszył go niezmiernie, a pochwały jakie Staś odbierał, dając mu to przekonanie, że je winien biednemu kuzynkowi, skłaniały ku niemu jego serce, Eugeniusza zaś wielką napawały radością. Tym sposobem pobyt jego w domu kasztelana stawał się coraz przyjemniejszym; podobało mu się wystawne życie, smakowały wykwintne potrawy, lubił patrzeć na piękne do nich przybory; ładne sukienki, które mu kasztelan sprawić kazał, spaceru w pięknym koczku, lub na zgrabnym kucyku cieszyły go, coraz bardziej zacierało się wspomnienie skromnych domowych uciech i nikła tęsknota za prostym, pochylonym dworkiem, chociaż tam był ojciec, ciocia Teresa i kochany Ignasz, chociaż serce jego nie straciło ani na włos tój gorącej miłości, jaką ogarniał drogie ich oblicza.

Tak było do przybycia kasztelanowej. Powrót jój zmienił znacznie stan domu. Zdawało się, że przybyło w dwójnasób ludzi, zajęcia, zachodu; że wszystkie struny tój liry, które dawniej poodecią-

gane brzmiały sobie swobodnie, dziś wyprężone do dwa razy wyższego tonu, dźwięczały z pewnym wysileniem i jękiem pod jej ręką. Kasztelan znikł z pierwszego planu, nikt o nim ani pomyślał, wszystkie oczy zwrócone tylko były na panią, wszystkie uszy wytężone na rozkazy, które od niej tylko wychodziły. Żaden z oficyalistów, żaden ze sług domowych nie wiedział co mu się dostanie, pewny był tylko, że nie pochwała i aprobaacya, gdyż pani znajdzie wszędzie coś zmienić, coś poprawić, coś naganić. Jest to zwykła metoda kobiet, czujących swoją władzę, nie wierzących w rozum męża i mających się za coś lepszego od niego. Kasztelanowa trzymała się jej zawsze, ale nigdy z większą ostentacyą i energiją, jak po każdym swym powrocie do domu. Dawała ona wtedy uczuć każdemu i wszystkim, że jest sprężyną tego zegara, który bez niej źle pokazuje godziny, że jest duszą tego ciała, które bez niej traci właściwy ruch, właściwą regularność pulsów i porządek funkcyj, nadających mu kolor zdrowia i moc niezagrożonej upadkiem egzystencyi. Wprawdzie należy jej oddać tę sprawiedliwość, że porządek i ład, jakim dom ten jaśniał, wiele jej

był winien; gdyż, jak już wiemy, była ona dobrą gospodynią, miała wyższe ukształcenie, rozum praktyczny, i trafny rzut oka na wszystko, co doprowadzało do celu, jaki sobie założyła. A celem jej nie była wcale owa dziecinna próżność wielu pań naszych, zasadzających całą dumę na błyszczeniu fraszkami, na świetnym stroju, na przyjmowaniu u siebie najpierwszych osób i podejmowaniu ich zbyt kowném, którem przesadziłaby tych lub owych, a olśniła wszystkich. Jej celem było uporządkowanie interesów, postawienie się w zupełnej niezależności od jakich bądź wypadków, podwojenie zamożności przez porządek i regularność w najdrobniejszych szczegółach, a przez zewnętrzny wyraz tej zamożności w ozdobach swjej siedziby, w elegancji i gęście sprzętów pokazanie wszystkim, iż jest taką, że odpowiada jej stanowisku w hierarchii obywatelskiej, a nadewszystko jej własnemu imieniowi i urodzeniu, czego nigdy nie spuszczała z oka i z myśli. Widziała ona w mężu swym rozum, wyższe ukształcenie, zaćność charakteru i szlachetne popędy serca, ale mając go za niższego od siebie w urodzeniu, nie dowierzała jego zdolności w kierowaniu barką do-

mową i mogąc, wzięła od razu stér w swe ręce, aby ją zaprowadzić do tego portu, do którego zaprowadzić ją chciała. Ponieważ zacny ten, ale może za słaby człowiek nie miał czy chęci, czy siły obronienia się od téj przewagi, kasztelanowa okazywała ją zbyt jawnie, zwłaszcza w takich zdarzeniach, o jakich obecnie mówimy, i dla utrzymania jéj w domu nie wahała się nawet ubliżać mu, jeżeli nie słowy, to czynem, odmieniając jego rozporządzenia i niszcząc to, co on bez niéj postanowił. Ta kardynalna wada ćmiła wysokie jéj przymioty, i wpłynęła niekorzystnie na wychowanie jéj dzieci, szczególnież syna, któremu natura, więcej niż córce, dała jéj własne usposobienie. Kasztelanowa kochała dzieci swe rozumnie, nie pieściła ich weale, nie starała się przerodzić je na niewiedzieć jakie egzotyczne rośliny i usposobić-li tylko do błyszczenia na tak nazwanym wielkim świecie, miłością obczyzny i pogardą tego wszystkiego co swoje. Owszem, chciała ona im dać gruntowne wychowanie, oprzeć je na uznaniu i ocenieniu tego, co w kraju własnym i jego obyczajach jest dobrém i szanowném, wpoić w nich religiję, oświecić ich prawdziwą nauką, a dawszy

im środek do jęj nabycia nauczeniem obcych języków, nie dać im oraz pogardy swojego, i dla tęj przyczyny nie mówiła do nich inaczej jak po polsku, nie pozwalala szczebiotać pomiędzy sobą po francuzku, nakazując używać tego języka jedynie dla wprawy, i to z temi osobami, które do tego były przeznaczone. Wszakże przy tych zasadach zdrowych i szlachetnych, okazujących jęj wyższość moralną i umysłową, nie mogła się obronić od przymieszania tego, co zbawienny ten kierunek edukacyi krzywiło i zgubnie na syna jęj wpłynęło. Kasztelanowa nie przeminęła żadnej okoliczności, aby nie upomniała dzieci swe do pamiętania w każdym miejscu i czasie, nie o tém jakie imię noszą, gdyż ona wstydzila się prawie nazwiska swego męża, ale o tém, z jakiej matki się rodzą, i do jakiego rodu przez nią należą.

Wyraz ten *arystokracya* ma dwa znaczenia. Raz oznacza on pierwszeństwo w czémkolwiek bądź dobrém i użyteczném, a także w urodzeniu i należeniu do rodzin przodkujących innym dawnością, zasługą przodków, zostawioną po nich puszczoną, sławą i t. d. Pod takim względem ary-

stokracya jest rzeczą znaczą, w każdej społeczności konieczną, a uczucie wartości i wpływu, jakie położenie takie daje, jest bardzo naturalnem i nic nagannego w sobie nie ma. Drugi raz *arystokracya* znaczy wygórowaną dumę, pochodzącą z nierozumnego przywiązania do swojego rodu i imienia, przenoszącą herb i tytuł nad wszelką zasługę osobistą, rodzącą w sercu przesiąkniętą tak zdrożnym uczuciem, przesady i uprzedzenia kastowe, które prowadzą do pogardy wszelkim innym stanem, do pomiatania każdym, kto nie jest z takiej samej gliny, do zatarcia w duszy, z kądem inną wysoko uposażonej, tego uczucia chrześcijańskiego braterstwa, jakiego nas nauczyła religija. Język nasz ma dwa cieniowania na wyrażenie tych dwóch tak różnych znaczeń. Kiedy mówimy, że ten lub ta należy do najpiérwszej w kraju arystokracji, wyrażamy pewien rodzaj szacunku, jaki każdy ma dla osób wysoko położonych i noszących imie, które cały naród zna i poważa. Kiedy zaś mówimy: to arystokrata lub arystokratka, wyrażamy pewną niechęć, która się rodzi w każdym na widok zbyt wysokiego cenięcia takiej rzeczy, która jest raczej

przypadkiem a nie zasługą, i która nie daje żadnego prawa do wynoszenia się nad innych. Bliższe przypatrzenie się naszej społeczności przekonywa, że u nas mężczyźni, należący do arystokracji, są bez porównania mniejszymi arystokratami, niż kobiety. Szkoły publiczne łączą ich i bratają od najpięćdziesiątych lat z młodzieżą rozmaitego pochodzenia, przekonywając paniczów, że biedaki mają często lepszą głowę i serce niż oni; służba publiczna stawia ich na równi z ludźmi nie mającymi ani herbu, ani tytułu, i zmusza niekiedy do ulegania takim, których może w duchu mają za niższych od siebie, ale którym jednak okazują względy i szanują ich władzę i znajomości; w życiu prywatnym, sprawy domowe stawiają ich w stosunkach z rozmaitemi klasami, a interes zmusza ich do względności i grzeczności dla tych, od których pomyślny jego kierunek zależy; z resztą w życiu zwyczajnym panowie mieszają się ze szlachtą, z urzędnikami, z kupcami i t. d. i czy to na ulicy, czy w ogrodzie publicznym, czy w jakim bądź miejscu, gdzie się zgromadza publiczność, zmuszeni są do wzajemnej grzeczności i ustępstwa, nie mogą po-

trącać innych i okazywać komu bądź pogardę i lekceważenie, gdyż takie dogodzenie swęj dumie można często opłacić zdrowiem, a nawet życiem. Wszystko to daje im dobre przyzwyczajenia, zbliża ich do tych, których los postawił daleko niżej w krainie pracy, zasługi i wybijania się na wierzch własnymi siłami, uczy ich więcej cenić położenia społeczne, których trudy i wartość lepiej znają, wraza w ich serca więcej chrześcijańskiego braterstwa, i przekonywa ich, że jakkolwiek wygodnem i pożądanem jest to stanowisko, na którym stawia majątek i urodzenie, zasługuje także na szacunek i takie, które sobie człowiek przez trud, przemysł lub talenta wyrobi. Przeciwnie, kobiety wychowywane są w odosobnieniu, pod okiem matki, przypominającej im ciągle, aby pamiętały czém są, aby się nie poufały z niższemi; otoczone są nieprzerwanie widokiem dostatku, używają tylko rzeczy kosztownych; widzą grzeczność i poufalsze obejście tylko z krewnymi, lub równymi im rodem i majątkiem; a oprócz takich nieznajdując w około siebie tylko istoty przeznaczone do usług i nadszakiwania, dla których można być łaskawym, ale któremi i po-

miatać można bezkarnie; niepojmując nawet, że oprócz tych co im równi, i tych co im służą, są jeszcze inne klasy niezależne, stojące na własnej pracy, na własnej zasłudze, wyrabiają w sobie to najmocniejsze przekonanie, że są czémścis daleko lepszym i wyższym od ogółu społeczności, że jedyną rzeczą, którą należy najwyżej cenić, jako dającą wartość i znaczenie, jest ród, tytuł i majątek, że z takimi tylko, którzy się w podobnych urodzili warunkach, może ich łączyć stosunek przyjaźni, poufałości i przywiązania. Dla innych mają tylko dumne i zimne obejście; jeżeli je co do zbliżenia się zmusza, mają czasem łaskawość, którą obrażają nie wiedząc nawet o tém, mają i miłosierdzie, często szczere i płynące z serca, ale często także i takie jakie jest w modzie; w ogóle jednak nie czują i nie widzą żadnej różnicy między swym oficyalistą, a najpoważniejszym urzędnikiem, który nie jest równym im panem, między swą garderobianą, a najszanowniejszą kobietą, która nie jest tak nazwaną damą. W takich zrosłszy wyobrażeniach, modyfikujących się w miarę indywidualnego usposobienia, tkliwości i dobroci serca,

przenoszą je i w dalsze życie; a rzadko zmuszone do oświecenia się w tej mierze sprawami publicznemi, do których nie należą, lub należą tylko niekiedy tajemnic lub sposobem intrygi, w interesach domowych zwalając całe chodzenie i odpowiedzialność na mężów; na ulicy osłonięte kareta, w teatrze łoża, w kościele nawet osobnym krzesłem lub zamkniętą na klucz ławeczką, nie przychodzą nigdy do zmiany opinii w której zrosły, i do nabycia innego przekonania, które stało się ich naturą. Ztąd to wynika, że kiedy mężczyźni, panowie, mają przyjaciół między szlachtą, urzędnikami, uczonymi, artystami, z którymi łączy ich najpoufalsze obejście, żadna pani nie zniży się do takiej przyjaźni, a nie było jeszcze u nas przykładu, aby która miała przyjaciółkę poufałą w kobiecie, któraby nie była wysoko urodzoną. Ztąd w nierównych związkach małżeńskich, na które nie mamy wyrazu, i które radzi nie radzi musimy nazywać obcym nazwaniem, bez porównania więcej jest mezalijansów ze strony mężczyzny arystokratów, aniżeli ze strony kobiet arystokratek. W tym ostatnim względzie ta jeszcze zachodzi różnica, że kiedy

pan łączy się z córką szlacheica, z córką kupca, urzędnika, lub artysty, podnosząc ją do siebie i okrywając świetnością swego imienia, zapomina o różnicy, jaka pomiędzy niemi egzystowała, nie wymawia jej nigdy, że do niej zszedł, i byle zaślubiła na jego miłość i szacunek, ma ją za równą sobie, i jako dla takiej wymaga czci i uszanowania od wszystkich swoich krewnych i przyjaciół. Kobieta wysokiego rodu przeciwnie, jeżeli ją miłość lub inna jaka okoliczność skłoni do oddania swęj ręki szlacheicowi, urzędnikowi, lub jakiegobądź innego powołania mężczyźnie, nie zapomina nigdy czem była, przy każdej okoliczności stara się wydobyć na jaw swój tytuł i ród w jakim się urodziła, w obliczu krewnych swych i przyjaciół wychodzi co moment z pod tego cienia, który na nią pospolite nazwisko męża rzuciło, przy każdej sprzeczce małżeńskięj nie oszczędzi mu wymówki, że się do niego zniżyła, a choć go kocha, chociaż mu wierna, nie może mu w duchu darować tęg słabości, jaką ją natęchnął, i która ją skłoniła do zapomnienia o wysokiem stanowisku, na jakim ją urodzenie postawiło.

Taką właśnie arystokratką była kasztelanowa, i takie jej było postępowanie z mężem. Uważamy to za ujemną stronę tej kobiety, obdarzonej zresztą tak wysokimi przymiotami rozumu i charakteru, że jej powszechny szacunek i cześć jednaly, nawet tych, którzy ją otaczali i doświadczali wpływu tej słabości, której ani rozumem swym, ani mocą swęj woli pokonać nie mogła, a co gorsza pokonywać nie chciała. Urodzona w książęcym domu, wychowana przez matkę wysoko skoligaconą, jedynaczka, ze znacznym posagiem, do dwudziestego dziewiątego roku życia nie oddała nikomu swęj ręki nie znajdując w konkurentach, którzy przed nią stawiali, lub takiego imienia, z którym byłoby warto zamienić się na swoje, lub takiego rozumu i innych przymiotów, któreby dopełniały to, czego imieniowi nie dostawało. Zostawszy panią swęj woli po śmierci rodziców i widząc nadchodzący ów krytyczny rok, który jest jakby Rubikonem dla każdej panny, nad którym każda staje zamyślona, wahając się czy go przejść czy nie przejść bez zmiany losu i imienia, zdecydowała się oddać rękę swą szlachcicowi, który, choć już nie pierwszëj mło-

dości, pociągnął ją ku sobie powabem postaci, ułożenia, rozumu, grzeczności i tych wszystkich miłych przymiotów, jakimi jaśnieją czasem u nas ludzie majątni, zdolni i dobrze wychowani. Chociaż nie bez wewnętrznej walki z dumą rodową, dała się zwyciężyć miłości, i zapomniawszy na chwilę, że jest księżniczką, stała się tylko kobietą kochającą, oddaną szczerze i bezwarunkowo powinnościom swym żony i matki, a nawet szczęśliwą tém szczęściem, jakie uczucia te dają każdej, czy jest wielką panią, czy prostą wyrobnicą. Ale wkrótce ocknięta z pierwszego oczarowania, jakie daje miłość, obejrzawszy się czém była, i czém są inne równe jój urodzeniem panny, postrzegłszy w mężu swym brak charakteru i energii, usposobienie spokojne do zajęcia się nauką, sztuką i domem, a ztąd bratanie się z uczonymi, z literatami, z artystami, wniosła, że ma gusta gminne, że nie ma żadnej ambicyi, że jeżeli zostawi rzeczy jak są, mąż jój będzie wiecznie tylko panem Kaźmierzem Zabuzskim, a ona tylko Klarą Zabuzką, i nie więcej. Ta myśl legła jak ołów na jój sercu, i skłoniła ją do energiczniejszego kierowania krokami człowieka, który sam nie

cheiał iść naprzód, a tém samém i ją przytrzymał na takim stanowisku, do jakiego się nie urodziła, i które ją wstydziło. Szczególniej zaś to nazwisko, jakie nosiła, gryzło ją jak jaki wyrzut sumienia, tém bardziej, gdy pomyślała, że mąż jój ma brata w służbie publicznej, który jest płatnym, że ma dalszych krewnych to samo imie noszących, którzy nawet nie mają majątku, ale własnymi rękami ciągną pług i słomianym okrywają się dachem. Postanowiła więc przydać jaki taki tytuł do tego imienia, które samym tytułem uczeiwości i nieskażonego honoru jeszcze w oczach jój nie miało żadnej ceny. Wystarała się więc, że mąż jój otrzymał kasztelaniją. To uspokoiło ją cokolwiek, ale nie oczyściwszy go z tego grzechu pierworodnego, że nie pochodził z równego jój rodu, nie podniosło go bynajmniej w jój opinii, i nie wyrobiło mu przebaczenia za to wykroczenie, że zdołał obudzić w niej takie przywiązanie, iż się tak dalece dla jego miłości zapomniiała. Upadek ten, gdyż rzeczywiście miała to za upadek, nagradzała sobie zupełną przewagą we wszystkiém, jaką jój wzięść pozwolił, okazywaniem jój w każdym

kroku i miejscu, a szczególnie w obec swych krewnych, przypominaniem mu ile jej winien i wrażaniem w serca dzieci tej myśli, że cały zaszczyt jaki mają i mieć będą ze stosunków familijnych z nią przedewszystkiem na nich spływa.

Że przybycie takiej pani do domu, po trzechmiesięcznej nieobecności, mogło zrodzić niepokój we wszystkich, a nawet w mężu, który się rozporządził bez jej wiedzy, i ubogiego krewnego w dom swój przyjął, łatwo jest pojąć. Ten niepokój kasztelana był tém większy, że gdy jej o decyzji swój względem Eugeniusza doniósł, gdy chłopczyka tego z najlepszej strony opisał, i o skutku, jaki współzawodnictwo to na Stasiu zrobiło, uwiadomił, odpisała mu dość obojętnie, a nawet w liście jej były następujące słowa: »Cieszę się, że to przynajmniej dobry skutek robi; gdyż widziałam to sama, że jakiś środek do podniecenia w Stasiu małej ochoty i zapалу do nauki, był koniecznym. Zawsze jednak nie sędzę, aby tak bardzo wiele na tém stracił, gdybyś był zatrzymał się do mego powrotu i wybór towarzysza dla naszego syna mnie zostawił. Przecież

jestem matką, i wychowanie moje nauczyło mię rozróżniać te względy, na jakie baczyć należy, aby środek tak hazardowny, jakim jest przypuszczenie do kompanii i poufałości z mojem dzieckiem chłopca gminnego pochodzenia, zamiast pożytku nie przyniosło szkody. Szczególniej to mi się nie podoba, że malec ten jest synem szlachetki, który jest podobno twoim krewnym. Nosi on takie same nazwisko, jakie Staś ma od ciebie, i co może złe za sobą pociągnąć konsekwencye. Malec ten widząc, że się tak nazywa jak i jego towarzysz, może się dopuścić zbytcej poufałości, jakiej mieć nie powinien, i co mu o jego pozycyi w naszym domu fałszywe da wyobrażenie; a Staś znowu widząc, że i pod słomianą strzechą rodzą się tacy, którzy się tak, jak i on nazywają, może stracić tę ambicyą, jaką w niego wpajam, a która posłuży mu kiedyś do dystynkeyi w świecie, i do nie zawstyżenia tych krewnych, jakich mu Bóg dał przezemnie. Chociaż więc nie wątpię, że ten środek, jakiście obmyślili z panem Orlickim, będzie skutecznym, wolałabym, aby to było dobre jakie i potulne dziecko innego zupełnie nazwiska, naprzykład

syn jakiego z naszych oficyalistów, któryby wiedział o tém, że jest sługą tak, jak i jego ojciec, że powinien tylko nieść pomoc w pracy i zachęte swojemu młodemu panu, a nie rościłby sobie żadnych pretensyj do równości, i byłby wdzięcznym za łaskę, jaką odbiera, mogąc się edukować razem z tym, u którego kiedyś będzie mógł mieć i kawałek chleba. Jakkolwiek więc nieaprobuje twego wyboru, a szczególnie z tego względu, że to jest twój krewny, że zatem żadnej wdzięczności spodziewać się nie możemy, a tylko żenować mnie to będzie, nie chcę jednak robić ci przykrości i zezwalam, aby został do mojego przybycia. Pisziesz mi o tém dziecku tyle dobrego, że może się skłonię do zostawienia go i nadal przy synu naszym i zajęcia się jego losem, jeżeli się przekonam, że na to zasługuje, i że bytność jego dla Stasia nie stanie się szkodliwą. Uprzedzam cię jednak, że gdybym cokolwiek postrzegła, co mi się niepodoba, nie będę się wahała usunąć go i usunę natychmiast. Sądzę bowiem, że poświęceniem mojem dla ciebie zasłużyła na twoję ufność, że ci wlała to przekonanie, że cokolwiek robię, to robię dla

podniesienia domu, w który weszłam i zaszczytu nazwiska, które przybrałam.”

Kasztelan uśmiechnął się tylko przeczytawszy ten list, a przyzwyczajony do podobnych przy smaków i nauczywszy się wybaczać jej tę słabość, dla innych cnót i przymiotów, któremi jaśniała, nie miał jej tego za złe i żadnego ztąd nie powziął do niej żalu. Wszakże wstydząc się pokazać ten list panu Orliekiemu i księdzu Augustynowi i niepokojąc się o to przyjęcie, jakiego biedny chłopczyzna dozna, uwiadomił ich tylko, że żona jego cieszy się dobrym skutkiem bytności Eugeniusza w ich domu i pozwala, aby i nadal pozostał. Nawiasowo tylko i jakby od siebie prosił ich, aby przy okazji ostrzegli chłopczyka, jak ma przy niej postępować, a szczególnież żeby zachował właściwą jego położeniu skromność i nie okazywał się, zwłaszcza w jej obecności, zbyt poufałym ze Stasiem, gdyż to mogłoby go narazić na jakąś wymówkę, któraby i jemu samemu była przykrą.

Zrozumieli oni oba, gdzie jest źródło tej obawy, jaką kasztelan wyraził, i Eugeniusz otrzymał stosowne ostrzeżenie. Słuchał on tych u-

wag ze spuszezonymi oczami, serce mu drżało, a dopadłszy kącika, gdzie nikt na niego nie patrzył, popłakał sobie trochę, czując, choć sam nie wiedział dla czego, że sama myśl o tój pani, co miała lada dzień przyjechać, uciska go i strachem napełnia.

Przyjechała wreszcie w październiku z córką i guwernantką francuzką, poważniejszego wieku, którą w Dreźnie znalazła. Wszyscy wyszli na jój spotkanie przed dom i Eugeniusz wyszedł także. Ale gdy wysiadła z karéty i witała się z mężem, gdy Staś rzucił się do niéj, całując jój ręce, a potém witał się z siostrą, ściskał ją i zaraz różne nowiny domowe opowiadać jój zaczął; gdy pan Orlieki i ksiądz Augustyn, także obecni powitaniu, przystępowali do niéj z uszanowaniem, Eugeniusz, stojąc z daleka, przypatrywał się z bijącym sercem tój kobiecie, słusznej, okazałej, wyrazistych i surowych chociaż nie brzydkich rysów, w czarném ubraniu, przy którym śniadawa jój twarz tém wybitniejszą się wydawała, i wraził sobie w myśl tę postać tak, że chociażby ją ten jeden tylko raz widział, jużby jój pewnie nigdy nie zapomniał. Ubrany on był ładnie i czy-

sto, prawie tak jak Staś, w kurteczce czarnej i zgrabnej, z kołnierzykiem wyłożonym białym i gładkim, z otwartą szyją, z odkrytą głową, na której błyszczały tylko ciemno-blond włosy, dłuższe niż je nosił w szkołach, ale uczesane gładko, i odgarnięte z szerokiego i zamyślonego czoła. Chociaż w duchu drżący i trochę zląkniony, nie miał jednak twarzy skrzywionej lub nadaśanej i niezgrabnej miny. Owszem, w ślicznej twarzy jego, z której znikł trochę rumieniec, był wyraz jakby smutku i osierocenia, a w całym ułożeniu było skromne oczekiwanie, aż go z kolei zawołają. Postrzegł Eugeniusz od razu, że Staś, skoro się przywitał z siostrą, zaraz jej o nim mówił, i że Jadwisia zwróciła ku niemu duże, czarne i błyszczące oczy, patrzyła nań ciągle, słuchając szczebiozącego brata, i potem odwróciwszy się, coś mu mówiła, zapewne o nim; ale czy przychylnie, czy niechętnie, nie bardzo go w tej chwili zastanawiało. Cała jego uwaga zwrócona była na kasztelanową, gdyż i to dostrzegł, że ona go widzi, że witając się z mężem, z synem, z panem Orlickim i księdzem Augustynem, przedstawiając mężowi guwernantkę, kilka razy ku

niemu spójrzała i bystrym objęła go wzrokiem. Czekał więc, aż mu dadzą znak, aby się także zbliżył. Ale skoro się pierwsze powitanie skończyło, co trwało z kilka minut, kasztelanowa wyprostowała się, podniosła głowę i poszła do pokojów, nie tylko nie przywoławszy Eugeniusza, żeby do niego coś przemówić, pogłaskać i ośmielić, ale nawet na niego nie spójrzała więcej. Został więc biedny chłopczyzna sam jeden między sługami, wypakowującemi powóz, a widząc, że o nim wszyscy zapomnieli, pobiegł do ogrodu, objął ustronne i zakryte krzewami drzewo, jakby chciał z jego pnia wywołać współczucie, i przytulając twarz swą do zimnej jego kory, serdecznym płaczem ulżył sercu, które jakiś nieopisany ból uciskał.

Gdy się wszyscy zebrali na herbatę, a Staś o podał bawił się z siostrą, rzekł kasztelan do żony:

— Moje życie! nie zwróciłaś uwagi na tego chłopczyka, o którym ci pisałem.

— I owszem, widziałam go— odpowiedziała obojętnie— powierzchowność ujmująca, stał zdaleka i skromnie, jak był powinien. Nie podoba mi

się tylko, że ubrany jednakowo ze Stasiem. Nie sędzę, abys go chciał utrzymywać na równej z synem naszym stopie. To może być szkodliwem i dla niego. Różnicę, jaka między niemi znajduje się, należałoby zachować i powierzchownie.

—Różnica ta widoczna i tak, pani dobroduszko!— rzekł pan Orlicki, czerwieniąc się i nie mogąc się doczekać odpowiedzi kasztelana.

—Zapewne w pilności i w zdolnościach— odpowiedziała kasztelanowa przygryzłszy wargi, ale nie chcąc drażnić pedagoga.

—Zgadłaś pani myśl moją— rzekł pan Orlicki— chociaż dodać muszę, że od czasu jak on tu jest, i ta różnica umniejsza się widocznie. Gdyż Staś jest daleko pilniejszym i zdolności jego rozwijają się razem z ochotą.

—Widzę— mówiła dalej kasztelanowa z uśmiechem— że to faworyt pana Orlickiego. Bardzo będę rada, jeżeli skutek pokaże, że na to zasługuje. A ponieważ panowie ułożyliście, że to ani jemu, ani Stasiowi nie zaszkodzi, że będzie wyglądał jak jaki panicz, niech tak zostanie.

—Nie pozwoliszcie mu tu przyjść do nas, moje

życie?— rzekł kasztelan dość nieśmiało. Kasztelanowa milczała jak gdyby nie do niej mówił. Pan Orlicki, oburzony i tą uległością męża, i tą uporną pychą żony, powstał z miejscy i wzięwszy czapkę szedł ku drzwiom. Zrozumiała dobrze kasztelanowa, co go podniosło z krzesła i co wypędza z pokoju, i zmiarkowawszy, że może na zawsze zrazić człowieka, którego szacowała, i który tak użytecznym był dla jej syna, rzekła niby z prośbą:

— Niechże się pan Orlicki sam nie fatyguje. Staś pójdzie i każe go zawołać. Idź Stasiu!— A gdy Staś pobiegł, obracając się do męża dodała:— Jakże się ten fenomenalny chłopczyk nazywa?

— Eugeniusz mamó— rzekła Jadwisia, która przystąpiła do krzesła matki.

— Zkądże ty to wiesz?— zapytała surowo kasztelanowa.

— Staś mi mówił— odpowiedziała dziewczynka spuszczać oczy.

— Proszę z nim nie wdawać się w żadne rozmowy— rzekła upominając matka. To nie jest kompanija dla ciebie. Stasiowi służy on do po-

mocy, dla tego może z nim przebywać przy lekcyach, i czasem się z nim bawić.

Pan Orlicki postrzegłszy, że kasztelanowa zrozumiała jego poruszenie, przestając na tém, wrócił, usiadł na dawném miejscu, ale już się więcej nie odzywał. W kilka minut przyszedł Staś i Eugeniusz wszedł za nim. Zatrzymał się on z daleka i czekał, aż kto do niego przemówi.

—Chodźże tu bliżej Eugeniuszku!— rzekł wreszcie kasztelan, zdobywając się na odwagę, a widząc, że pan Orlicki wlepił w niego wzrok, w którym widoczny był zarzut niedarowanej słabości, dodał łagodnie:— Przywitaj się i siadaj na swoim miejscu.

Chłopczyk blady i drżący ukłonił się kasztelanowej, która na niego spojrziała niby łaskawiej, nie mówiąc jednak ani słowa, i usiadł obok pana Orlickiego. Rozmawiano o różnych rzeczach, o przygodach podróży, o miastach przez które przejeżdżali, i które widzieli bliżej, bawiąc w nich po dni kilka i kilkanaście. Kasztelanowa opisywała różne ich osobliwości, ich zamożność, ich zbiory, kościoły i t. d.; mówiła ładnie, płynnie

i rozumnie, Eugeniusz słuchał z uwagą, i gdy mówiła, nie spuszczał z niej wzroku. Oczy jego nabierały życia, cała ich piękność stawała się widoczną i uderzającą; patrząc na nią bystro i ciekawie, zdawał się zapominać, że to ta sama pani, której się tak bał, i która go tak obojętnie i prawie nieludzko przyjęła. Postrzegła kasztelanowa to rozumne ożywienie ślicznej twarzy chłopczyka, po której i myśl się rozlała, i którą rumieniec okraślił; podobało się jej, że ją z taką słucho uwagą i łaskawszy jeszcze jej wzrok padł na biędne dziecko, które przed godziną, czuło cały ciężar sieroctwa i opuszczenia.

Takie było pierwsze przyjęcie bohatera naszego przez tę wcale niepospolitą kobietę, która na dalszy jego los i cały kierunek życia tak przeważnie wpłynęła. Następne dni nie zmieniły bynajmniej jej postępowania. Była zawsze obojętną, patrzącą z daleka, egzaminującą każdy jego krok i odezwanie się; jeżeli kiedy do niego przemówiła, to tonem surowym, sucho, nawet niekiedy ostro, zwłaszcza gdy postrzegła za nadto śmiałe zbliżenie do jej dzieci na spacerze, lub

w zabawie chłopców, do której się i Jadwisia przyłączyć chciała. Ale nigdy nie spytała o jego zajęcia; odwiedzając syna, nigdy nie zajrzała do jego dzienniczka; nie pochwaliła go za nic i nie ośmieliła żadnym karesem, żadnym dobrem słowem, choćby nawet takim pogłaskaniem, jakim się głaszcze pieska, który przymila się i służy. To jej postępowanie nie miało źródła w jakiejś zawziętości do niewinnego dziecka, które nie dysponując sobą, nie ze swęj woli znalazło się pod jej dachem. Za nadto ona miała rozum i szlachetnego podniesienia ducha, aby go znienawidziła za to, co nie było jego winą, lub nie uznała jego wartości i przymiotów, przez które stawał się synowi jej pożytecznym. Ale chciała pokazać mężowi i panu Orlickiemu, że nie powinni byli tak ważnej rzeczy przedsiębrać bez niej, że się porządzili za prędko, że dla niej nawet, przenikliwszėj od nich obu, potrzeba długiego czasu, aby się przypatrzyła chłopcu, który miał być nieodstępnyj jej syna towarzyszem, czy się w nim nie okaże coś gminnego, czémby się ten jej syn skaził, czy się nie rozwinie jakaś zła skłonność, któraby mu rzeczywistą przy-

niosła szkodę. Dla zrobienia więc przykrości ludziom dojrzałym, którym chciała dać uczuć swoją władzę i przewagę, nie wahała się przez czas niejaki poświęcić pokój i swobodę niewinnego dziecka, i utrzymywać go w ciągłym od siebie oddaleniu i ustawicznej obawie jej nieukontentowania.

Takie usposobienie względem siebie osoby tak ważnej w domu, od której wszystko zależało, napełniało Eugeniusza niewymownym smutkiem, zrobiło go lęklwym, niezgrabnym, niezręcznym i nieprzytomnym w odpowiedziach, przytępiało jego zdolności i odbierało mu do wszystkiego ochotę. Jakkolwiek bardzo młody, ale, jak wiemy był to chłopczyk roztropny, zastanawiający się nad tem, co go otaczało, i szukający każdej rzeczy powodów i przyczyn. Widział on przychyłność kasztelana i wnosił sobie, że go lubi za to, że jest grzecznym, pilnym, że co tylko mu każą robi prędko i dokładnie, że Staś z nim i przy nim jest i pilniejszym, i więcej daleko korzysta. Przychyłność pana Orlickiego tłómaczył sobie przez to, że mu żadnego nie daje

kłopotu, że go słucha z uwagą, że go pojmuje od razu.

Zresztą niedziwiło to go weale, że go pan Orlicki lubi, bo przyzwyczajony był do przywiązania swych nauczycieli, i wiedział o tém dobrze, że zwykle dobrzy nauczyciele do dobrych przywiązują się uczniów. Ale za co go kasztelanova nie lubiła, dla czego obchodziła się z nim tak ostro; dla czego się jęj tak okropnie bał, tego sobie wytłómaczyć nie mógł; i tym więcej go to dręczyło i uciskało, że nie widział żadnego sposobu, czémby sobie mógł ją zjednać, w czém się poprawić, żeby się na niego nie gniewała, jakim być, żeby była łaskawszą, żeby mu i teraz było tak dobrze jak pierwěj, żeby mógł być weselszym i swobodniejszym. Te myśli trapiły go po pacierzu, gdy się położył i zwykle rozmyślania takie kończyły się łzami, z którymi zasypiał.

W tych utrapieniach miał Eugeniusz tę jedną pociechę, że Jadwisia zdawała się widzieć jego smutek, i czasem gdy mogła okazywała mu więcej życzliwości, niż nawet Staś, który chociaż nie był dla niego złym, ani postępował z nim

tak hardo, jak z początku, ale nie zważał na jego przygnębienie i żadnej nie okazywał mu sympatii. Jadwisia przeciwnie, wiele razy przechodziła koło niego, zawsze mu powiedziała albo: dobry dzień Eugeniuszku: albo dobry wieczór; albo przysunęła mu nieznacznie jaką książkę z obrazkami, gdy siedział sobie zdaleka i nikt do niego nie mówił; albo gdy przybiegła do Stasia, to prosiła Eugeniusza, żeby jej pokazał i swój dzienniczek i cieszyła się, że tam wszędzie takie piękne świadectwa, zachęcając i brata żeby mógł się także czém podobnym pochwalić. W głosie jej, gdy mogła do niego kilka słów przemówić, była zawsze dobroć, a w spójrzeniu jej widział wyraźnie, żeby go rada pocieszyć, pogadać z nim o nim samym, zapytać się dla czego smutny i przygnębiony. Poznawał to Eugeniusz, że ma w niej przyjaciółkę taką, jakim był kasztelan, do którego była podobna, i serdecznie był za to wdzięczny pięknej i delikatnej dziewczynce, której wiotka postać, twarzyczka blada, uśmiech miły, ale także smutny, stawały mu zawsze w myśli, jako pociecha i umocnienie, wiele razy czuł się odepchniętym, zapomnianym, albo po-

strofowanym i zawstydzonym za to, że się za nadto przybliżył, że usiadł nim mu kazano, że się dotknął, lub z większem zajęciem przypatrywał się jakiej pięknej rzeczy, która oko jego i skłonność estetyczną nęciła.

Jadwisia we wszystkim była obrazem ojca. Taka sama łagodność i dobroć, takąż uprzejmość dla wszystkich, taki sam uśmiech i spójrzanie. Podobne nawet miała rysy i odziedziczyła po ojcu jego piękność. Oko ciemne, duże i prześliczne miało wyraz dziwnie słodki i przenikający, a włosy zupełnie czarne z błękitnym odbłyśkiem były tak bujne, gęste i długie, że zdawały się ciężyc jej delikatnej i kształtnej główce i całą jej postać naginać ku ziemi. Kończyła ona wówczas dwunasty rok; była słuszną, ale tak szupłą i jakby ulotną, że się zdawała podobniejszą do cienia pełnego wdzięku i doskonałych kształtów, jak do żywej i zapowiadającej długie życie istoty. Choć nie miała żadnej wady organicznej, choć nie ulegała żadnej ciężkiej chorobie, była jednak zawsze bladą; różowe tylko miała usteczka i kiedy niekiedy rumieniec tak lekki, że się zdawał nawianym i padającym od innego przedmiotu odbiciem;

płeć zaś jęj była tak przezroczystą że przez rączki, gdy je podniosła do światła, można prawie było przejrzeć jak przez jaką delikatną tkankę. Widok tego ślicznego dziecka ujmował, ale smutno i rzewnje. Widać że usposobienie melancholiczne było właściwem tęg duszy, w tak wątłém umieszczonej cieie. Ten jej stan, chociaż nie przeszkadzał jęj rozwinięciu umysłowemu, gdyż była dziwnie rostopna, pilna i pojętna, napelniał wielką ebawą rodziców, i dla tego kasztelanowa tego lata jeżdżila za granicę, aby się poradzić najcelniejszych niemieckich i francuzkich lekarzy. Uspokoili oni trwożącą się matkę, upewniając, że nie zagrażającego dalszemu wzrostowi panienki nie widzą; radzili tylko, aby miała dużo ruchu, aby się znajdowała jak najczęścięj na świeżem powietrzu, i nie oddawała się wysilającej pracy. Stosownie do tego kasztelanowa starała się uorganizować edukacyą Jadwisi, myśląc raczej o tęg żeby ją umocnić, niż żeby jęj dać obszerne wiadomości i talenta, przez które mogłaby jaśnieć na świecie. Uczyła się więc języków więcęj praktycznie, rozmawiając i czytając, lekeyj muzyki nie brała weale, rysowała sobie ile chciała, więcęj dla

zabawki i dla tego, żeby jak najczęściej być z ojcem, którego kochała nad życie, a kilka tylko lekcyj brała razem z chłopcami, to jest: nauki religii u księdza Augustyna, języka polskiego i historyi u P. Orlickiego. Wtedy matka znajdowała się prawie zawsze przy tych lekcjach, które podwójne dobro przynosiły Eugeniuszowi, raz, że go umacniało zbliżenie dziewczynki, która zawsze znalazła sposobność coś mu pocieszającego powiedzieć; a powtóre, że sama kasztelanowa słuchała najczęściej z uwagą, gdy się tłumaczył, że wówczas twarz jej łagodniała i spójrzenie jej łaskawsze padało na chłopca, którego to ośmielało tak, że gdy mówił, na nią patrzył, jak gdyby chciał przed nią tylko popisać się i tą pilnością swą i darami, jakie mu Bóg dał, wyprosić sobie u niej choć kroplę spółczucia i życzliwości. Wszakże to uznanie wartości Eugeniusza nie zmieniało bynajmniej jego położenia. Była to tylko dla niego chwilowa ulga, bo zresztą obejście się z nim kasztelanowój zostało, jak i dawniej zimném, obojętném i surowém, tak dalece, że trzy miesiące od jej przybycia upłynęło, a jeszcze od niej nie

słyszał żadnego dobrego słowa; żadnego by naj-
 lżejszego karesu nie otrzymał.

Ale gdy kasztelanowa widziała, jak to jej po-
 stępowanie martwi męża, jak niecierpliwi i jak
 przykrém jest P. Orlickiemu, sądząc, że ich już
 dostatecznie za wykroczenie ich i obrazę swęj wła-
 dzy ukarała, przekonawszy się nadto ile prawdzi-
 wej korzyści towarzystwo tak dobrego i zdanego
 chłopca synowi jej przyniosło, postanowiła sto-
 pniaми zdejmować klątwę z jego niewinnęj głowy,
 i życie jego w domu swym znośniejszém uczynić.

Raz weszła do pokoju syna, gdy P. Orlickiego
 nie było, a chłopcy przygotowywali się na lekcją
 arytmetyki o wyciąganiu pierwiastku sześcienne-
 go. Kasztelanowa usiadła sobie spokojnie przy
 stole nauczyciela, wzięła jakąś książkę i zaczęła
 czytać. Staś stał przy tablicy, pisał, mazał, skro-
 bał się w głowę, poziewał; widać, że mu się i
 nie chciało pomyśleć, i nie pojmował jeszcze do-
 brze, o co to tam właściwie w tém wyciąganiu
 pierwiastku idzie. Eugeniusz już dawno był go-
 tów i co innego robił. Ale że nie śmiał usiąść
 przy kasztelanowéj, póki by nie kazała, stanął przy

swoim stolyczku i patrzył na robotę kolegi. Po chwili rzekł:

— Nie tak Stasiu! nie tak, tak nie dojdiesz do końca. Powinno być bez reszty.

— Czy ja wiem — rzekł Staś — dla czego powinno być bez reszty.

— Dla tego, że sześcian zupełny.

— Jak to, zupełny? — zapytał panicz ziewając.

— To ty jeszcze nie dobrze to rozumiesz, Stasiu! — rzekł Eugeniusz — poczekaj ja ci to jeszcze raz wytłómaczę.

— Wytłómacz, proszę cię — odpowiedział Staś — dałem słowo P. Orlickiemu, że dziś lekcję umieć będę tak jak ty. Nie tyle mi idzie o te głupie pierwiastki, które nie wiem na co są i do czego przydać mi się mogą; ale jak już dałem słowo, to dotrzymać muszę, żeby tam nie wiem co.

Kasztelanowa uśmiechnęła się nieznacznie, słysząc tę rozmowę, a Eugeniusz przystąpił do tablicy, startł robotę kolegi i zaczął wykład całej nauki. Najprzód objaśnił mu co potęga w ogólności, a co pierwiastek, kiedy potęga zupełna, i kiedy pierwiastek zupełny, a kiedy tylko przybliżony. Potem przypomniał co kwadrat, co sześcian

i z ilu części każdy się z nich składa. Wszystko to, co mu wytłómaczył, kazał powtórzyć, potem zręcznemi pytaniami jeszcze go wybadywał, czy każdą rzecz dobrze rozumie, i gdy otrzymał odpowiedź niedokładną, powtarzał objaśnienie z wielką cierpliwością i precyzyą. Gdy już zasady były wyłożone, gdy mu przypomniał, jak się wyciąga pierwiastek kwadratowy, kazał mu zrobić sześcian zupełny i potem od niego wrócić do pierwiastku, z którego powstał, domagając się, aby wszędzie objaśnił przyczynę, dla czego tak a nie inaczej robi. Wszystko to trwało ze trzy kwadransy. Kasztelanowa siedziała i słuchała z największą uwagą. Gdy Staś jeszcze jeden przykład odrobił już zupełnie sam i bez żadnej pomocy, rzucił kródkę, i klaszcząc w ręce zawołał:

— Teraz nie boję się P. Orlickiego. Nie powie, że nie umiem dotrzymać słowa. Dziękuję ci Eugeniuszku! rozumiem już wszystko doskonale.

— Zleby było, mój Stasiu! — rzekła wówczas kasztelanowa — gdybyś nie zrozumiał. Eugeniuszek wytłómaczył ci to tak dobrze, tak jasno i tak cierpliwie, że i ja zrozumiałam.

— Ten głos jej łagodny, to słowo pochwały, ten

wyraz *Eugeniuszek*, który raz pierwszy z ust jej wyszedł, tak przeniknął biednego chłopca, który się już nigdy tego szczęścia nie spodziewał, że mu się łyzy z oczu polały. Widząc to kasztelanowa, spójrzała na niego życzliwie, i zbliżywszy się i kładąc rękę na jego głowie, dodała:

— Nie płacz, moje dziecko! kontenta z ciebie jestem. Ucz się i pracuj dalej jak teraz pracujesz, a będziesz kiedyś dobrym nauczycielem i zapewnisz sobie przyzwoite utrzymanie.

Chłopczyk odurzony taką łaską, całował jej rękę i płakał; ona pogłaskała go jeszcze po twarzy, uściskała syna, przykazując, aby Eugeniuszka naśladował, i poszła. W przedpokoju spotkała wracającego nauczyciela, i wyciągając do niego rękę, rzekła z uśmiechem:

— Dziękuję panu, P. Orlicki, za tego towarzysza, jakiego synowi memu dałeś. Zastaniesz go tam pan we łzach; ale sądzę, że to są łyzy radości.

Tym to sposobem pierwiastek sześcienny wpłynął na położenie naszego bohatera i wrócił najszczęśliwшему wiekowi tę swobodę myśli i zapomnienie o troskach, nieodłącznych od dalszej wędrówki naszej na ziemi, co tak potrzebném jest do

wzrostu ciała i duszy, jak potrzebnym jest świeży ranek dla rozwijającej się rośliny, jak potrzebną jest wieczorna rosa, która zmywa z nieumocnionych jeszcze listków gryzącą kurzawę dzienną, i nowém życiem i siłą delikatną ich tkankę przenika.

Od tego dnia Eugeniusz ożywił się i ośmielił łaską pani, która mu ją coraz widoczniej okazywała. Ochota jego do nauki podwoiła się, pilnował Stasia gorliwie, żeby każdą lekcją umiał dobrze; Jadwisi, która. czy z potrzeby, czy może tylko dla zrobienia mu przyjemności prosiła go czasem o objaśnienie, tłumaczył z jakąś radością, której nie pojmował, to pierwsze działania arytmetyki, to niektóre lekcye z historyi, to jęj pomagał w rysowaniu kart jeograficznych, przez co jęj naukę jeografii ułatwiał. Kasztelanowi, który już śmielej okazywał mu swoje przywiązanie, czytywał gazety polskie, wtedy kiedy ten malował, lub biust jaki lepiał. A nawet do tego stopnia wziętości przyszedł, że kasztelanowa, słysząc u męża jego czytanie, gładkie, jasne i zrozumiałe, kazała mu raz przyjść do siebie po skończeniu lekcyj, i czytać sobie jakąś ciekawą i nauczającą książkę polską, a ona i Jadwisia, zajęte robotą, pilnie go

słuchały. Nie go tak nie cieszyło, jak ten honor, który otrzymał, jak ta łaska kobiety, której niechęć przewyciężył, której nie przestał bać się i drżał na każdą chmurkę, jaką na czole jej postrze- gał, ale którą zaczynał szanować i czuć dla niej wdzięczność i przywiązanie.

VI.

Szybko i niepostrzeżenie przeszedł rok od przybycia Eugeniusza do domu kasztelana. Miło i wesoło schodziły mu dni na pracy, na korzystaniu z rozumnego i obszernego wykładu nauk; na przypatrywaniu się rzeczom pięknym i gustownym; na przysłuchiwaniu się rozmowom ludzi tak oświeconych i interesujących się tém wszystkiém, co się ważniejszego i ciekawszego działo na świecie; na zabawach, gdzie każdy ściśle strzegł przyzwoitości i miary; na przywykaniu do tych form wyższego towarzystwa tak gładkich i ujmujących; wreszcie na oswojeniu się i zamiłowaniu tych wszystkich wygod, jakie miał, tej piękności i ozdoby w przyborach równie stołu, jak odzienia, mieszkania i

tego wszystkiego, co pańskiemu życiu przydaje okazałości i powabu. Z natury usposobiony do porządku, czystości i pewnej elegancyi, co już i w szkołach objawiał, przylgnął on bez trudności, a nawet z wewnętrznym ukontentowaniem do tego życia, jakie go otaczało, i polubił te złocone i piękne ramy, w które je zamożność i gust oprawiają, aby się tym powabniejszym wydało, i tym wyraźniej od biedniejszego kołatania się na tej ziemi w troskach i niedostatku odróżniło.

W drugiej połowie lipca, z oficyalistą kasztelana, jadącym za interesami w strony Krasnegostawu i Zamościa, przyjechał Eugeniusz na kilka dni do domu. Ignasz już tam był na wakacyach z patentem szkoły powiatowej, którą chlubnie ukończył. Eugeniusz w pierwszej chwili uradował się niezmiernie widokiem ojca, ciotki, proboszcza, a szczególnie Ignasia. Oba chłopcy nagadać się z sobą nie mogli, ale wkrótce postrzegli, że się już nie tak dobrze, jak dawniej rozumieją. Ignasz prawił mu o kolegach, o nauczycielach, o wszystkich wypadkach i przygodach, jakie się w tym ostatnim roku zdarzyły w szkole; postrzegł jednak, że to jakoś niebardzo interesuje Eugeniusza, który

nawzajem widział to dobrze, że się Ignas nie zachwyca opisami tych wszystkich wspaniałości, tego dostatku i bogactwa, wśród którego żyje, a o czem młodszemu bratu starał się najpochlebniej-sze dać wyobrażenie. Prawie zmartwił się Eugeniusz, widząc, że Ignas przerywał mu ustawicznie swojemi opowiadaniem, że na przeciw okazałości dworu stawiał prostotę i swobodę dworku ojcowskiego, że nie okazywał najmniejszej chęci poznania tych pałacowych delicyj, ani ciekawości widzenia tych srebrnych naczyń, z których Eugeniusz pijał kawę i herbatę, tych jedwabnych krzesel, na których siadał, tych pięknych i wysokich koczów, w których jeździł. Kochali się oni serdecznie, ale po kilku dniach wspólnego z sobą przebywania poczuli oba, że myśli ich innemi i odstającemi od siebie zaczęły iść drogami.

Proboszcz kontent był bardzo z Eugeniusza, rozgadawszy się z nim o różnych rzeczach i postrzegłszy, jak wiele się nauczył, jak znacznie się rozwinął, jak zdrowe i pewne ma zdanie o takich rzeczach, których nie znałby pewnie, aniby o nich słyszał, gdyby był przebył ten rok zwyczajnie, na rozmaitego gatunku zabijających gramatykach,

a nie w towarzystwie ludzi-tak świątłych i tak żywo interesujących się tem wszystkiem, co w życiu naszym jest rzeczywiście ważnem, co jest dobrem i pięknem. W tym sensie mówił on o Eugeniuszu z P. Sebastyanem, który słuchał pochwał tych w milczeniu, gładząc wąsy i niepodzielając radości ks. Macieja, który dziełem swém niezmiernie się cieszył. Nie objawił P. Sebastyan swęj myśli, ale w duszy niepodobało mu się najprzód wykwiłtne i paniczowskie ubranie Eugeniusza, w którem mu wprawdzie było bardzo ładnie, ale staremu wydało się, że chłopiec to wie, że do powierzchowności swęj większą już, niż warto, przywiązuje cenę, że ojcowska kapota i mundurek brata wydają mu się czemściś biednem, niewłaściwem jego usposobieniu, i takiem, do czego by nie chciał już wrócić. W innych rzeczach postrzegł także jego wykwiłtniejsze gusta i tę przykrość, jaką synowr jego robił widok pobielonych ścian w izdebkach małych i zastawionych prostemi sprzętami z dębu i lipy. Przy śniadaniu zdało mu się, że się Eugeniusz krzywił na cynową łyżeczkę, którą musiał mieszać kawę, a przy obiedzie uważał P. Sebastyan, że jadł bardzo mało, że wziął ledwie

kilka łyżek barszczu, który jednak był smaczny, że pogmérał tylko w zrazach i kaszy hreczanej ze słoninką, którą dawniej tak lubił, a której ogromną porcją stary sprzątnął i nie znajdował, aby potrawie tej czegobadź brakowało. Wszystko to napełniało go jakimściś smutkiem, który jednak pokrywał, i prawie żalem, że się dał nakłonić do wypuszczenia syna z pod swego oka, do przeszczerpienia na inny grunt, gdzie się może zmienić jego natura, gdzie może wprawdzie wybujać, ale przywyknie do atmosfery, która według jego wyobrażenia, nie jest tém prostém i zdrowém powietrzem, do jakiego się zrodził. Nie dawał jednak P. Sebastian wprost żadnych w tej mierze upomnień synowi, bojąc się, aby nie naprowadził go na myśli, których może nie ma, i zamiast naprawić rzeczy, nie pogorszył jój jeszcze. Gdy jednak P. Teresa, która nie mogła się swoim Eugeniuszkiem nacieszyć, której wszystko się w nim podobało, i tak ładnie zaczesane włosy, i kołnierzyk tak ślicznie wyłożony, i kurteczka z cienkiego sukna, ściskając i piesząc siostrzeńca, mówiła: mój drogi chłopaczek! jak to wygląda, jak jakie paniątko! jak mu ślicznie w tej kurteczce, jak zgra-

bnie w tych trzewieczkach, i t. p.; gdy Eugeniusz to tego, to owego nie jadł, a ona dodawała z pewnym rodzajem dumy: gdzie jemu teraz do pirogów z serem i do kapusty z kiełbasą! czy on na takich rzeczach wykarmiony, mój kochany gaga-cik! jemu potrzeba pasztetów, marcepanów i francuzkiego ciasta i t. d. wtedy P. Sebastyan zniecierpliwiony, marszcząc czoło, głosem surowym i stanowczym mówił:

— Moja P. Tereso! gadasz trzy po trzy, i wma-wiasz w chłopca rzeczy, które mu się nie śnią. Wić on, mosanie, bardzo dobrze, że się urodził do grubego sukna, a nie do sajety, jeżeli własną pracą i usposobieniem się do lepszego stanu nie będzie mógł sobie zarobić i na lepsze odzienie, niż oj-cowska kapota, w której także dobrze jest, kiedy za nią nie trzeba nikomu się kłaniać i wysługi-wać. Ładnie jest człeku w każdej sukni, kiedy odpowiada jego stanowi, kiedy niepożyczona, i kiedy można w niej każdemu śmiało spojrzeć w oczy. A i cienkie sukno źle pokrywa próżniaka, który wstydzi się grubej sukmany i pracy, a nie wsty-dzi się cudzej łaski, przyjmuje sukienkę z pań-skiego grzbietu, i na marcypanik, który spada z pań-

skiego stołu, czeka jak piesek, który służy. Każdy z nas prosi codziennie P. Boga, aby mu dał chleb powszedni, ale nie prosi o torty i pasztety, któremi i panowie nie codziennie żyją, a dopióroż takie biedaki, jak Eugeniusz. Jeszcze on wprowadzić dziecko i nie rozumie życia, ale wie o tém dobrze, że nie przysmaki, a zwłaszcza dane z łaski, przynoszą siły i zdrowie, ale własny kawałek chleba, na który trzeba zarobić i który dopiero wtedy smakuje. Że nie jadł dziś z wielkim apetytem pierogów, to zapewne dla tego, że mu się jeść nie chciało, i żeś go tam może P. Teresa jakimi przysmaczkami ze swojej szafki okarmiła. Nie taki on głupi, jak się P. Teresie wydaje, żeby czekał tu na francuzkie ciasta, i bał się powalać sobie gębę kapuśniakiem, który dawniej zajadał, wiedząc zwłaszcza, że ojciec i na taką strawę musi w pocie czoła zapracować.

Te ostatnie słowa P. Sebastyan wymówił dobitniej, patrząc surowo i bystro synowi w oczy. P. Teresa umilkła, i jak zwykle pomyślała, że ojciec za nadto jest srogim dla takiego dziecka, które i powierzchownością i sercem i głową zasługiwało tylko na pieśczętę i miłość. Ale czter-

nastoletni Eugeniusz, który przez rok żyjąc między obcemi, i widząc zwłaszcza z początku niechęć tej, od której jego pokój i swoboda zależały, nauczył się czytać z twarzy jej, co myśli, i co waży każde jej słowo, zrozumiał tę uboczną naukę, i odgadł dla czego ojciec od kilku dni był dla niego obojętniejszym i surowiej się z nim obchodził. Roztropny chłopezyk czując to dobrze, że mu się dom ojcowski i wszystko co w nim widział, nie tyle już podobało jak dawniej, kiedy nic lepszego nie znał, wniósł, że ojciec musiał to w nim postrzedz, i że mu to musi być przykro. Zawstydział się więc w duszy, i przez te kilka dni, które jeszcze został w domu, nie okazał żadnej niecierpliwości powrócenia tam, gdzie go nabyte tak prędko nawyknięcie ciągnęło, bawił się wesoło z Ignasiem i podzielał jego serdeczne zajęcie wszystkimi szczegółami ojcowskiego gospodarstwa, zjadał ze smakiem obiad i wieszczę, i dostrzegł z radością, że się oblicze ojca, którego się bał i którego niezmiernie kochał, rozjaśniło, że zatem w tej jego skłonności do pańskiego życia, którą objawił, musi być coś złego, kiedy się to ojcu nie podobało, i oziębilo dla niego to serce, w któ-

rém wiedział, że jest tyle gorącej miłości. Ten jego domysł sprawdził się przy pożegnaniu. Gdy się rzucił ojcu do nóg, wtedy stary podniósł go, z dziwném jakiémś i niezwykłym mu wzruszeniem tulił go do piersi, ścisnął i całował, jak gdyby go już nigdy nie miał obaczyć, i nareszcie puszczając ze swego objęcia, rzekł:

— Jedź już, chłopcze, jedź. Niech Bóg i jego święci czuwają nad tobą! Ucz się wszystkiego, co dobre, co ci otworzy drogę w życiu, co ci da chleb powszedni, co ci się przyda, czy będziesz miał nad sobą wysoki dach, czy niską i słomianą strzechę. Szanuj tych, co ci okazują serce i przychylność, ale nie równaj się z niemi. Nie przywiązuj się do marnych rzeczy, bez których oni być nie mogą. Strzeż się, abys nie rozmięczył swego ciała, bo i dusza twa rozmięknie, i złęknie się biedy, która stoi za plecami każdego. Nie zapominaj, z jakiego wyszedłeś gniazda, i nie oblepiał się piórkami, które nie twoje. Pamiętaj mój synu!—dodał całując jeszcze raz jego głowę—że Bóg błogosławi tylko takiej drodze, którą ojciec przeżegnał, wyprowadzając dziecko swe od siebie. Ja żegnam twoją w Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego. Idź nią

tedy śmiało choć mnie nie będzie; ale niech cię zawsze wspomnienie rodzicielskiego domu, praca i życie ojca twojego ostrzega, jeżeli z niej zbozczysz i ukochasz zbytek, próżnowanie, lub czego Boże uchowaj, zechcesz zarabiać nie trudem głowy lub ręki, ale pochlebnym językiem i spodleniem i zaprzędanem sercem.

Wszyscy obecni, słuchając tych słów drżącym ale przenikliwym wymówionych głosem, płakali. Eugeniusz płakał także, a choć nie pojmował jeszcze dobrze, co ojcu takie podało myśli, dla czego wziął tak seryo i tak głęboko uczuł to, co i on miał za uchybienie, ale nigdy za rzecz tak dalekich konsekwencyj, utkwiał sobie jednak w sercu przestrogi ojcowskie, i często o nich rozmyślał.

P. Sebastyan po wyjeździe syna był niepocieszonym. Humor jego zmienił się zupełnie. Walka, jaką z sobą staczał, była widoczną. Ten jego stan pogorszał jeszcze niedostatek środków do kontynuowania edukacyi Ignasia, którego obrócił do gospodarstwa, myśląc z żalem, że chłopiec tak zdatny, tak ożywiony i praktyczny, będzie musiał zagrzebać swe zdolności w kącie takim, jak Sawin, i poprzestać na tém, czego się w szkole powiato-

wój nauczył. Wprawdzie proboszcz nalegał i prosił, aby ten dług, który mu P. Sebastyan zaraz po żniwach oddał, użyty był znowu na wysłanie Ignasia do gimnazyum; ale stary i słuhać o tém nie chciał, i tak rzeczy zostały do jesieni.

Przy końcu października P. Sebastyan zapadł na zdrowiu. Nie chorował on nigdy, i tém niebezpieczniejszém okazało się zapalenie, które go od razu z nóg zważyło. Co właściwie było powodem choroby, postępującej szybko i gwałtownie, czy wewnętrzne jakie cierpienie, którego przemódz nie mógł i które pokrywać starał się, czy zbytek pracy i niezaszanowanie się przy piérwszém objawieniu się niemocy, oznaczyć było trudno; dosyć, że gdy za staraniem zmartwionego proboszcza przybył lekarz z Chełma, już było za późno. Objawił on, że chory może jeszcze kilka dni pociągnąć, ale że przełamać złego niepodobna, że za tém potrzeba go przygotować do polecenia duszy swój Bogu, a majątku i dzieci ludziom.

Ze łzami w oczach proboszcz przystąpił do tak trudnego obowiązku. P. Sebastyan, przytomny na umyśle, wysłuchawszy przyjaciela, przeżegnał się i rzekł:

— Niech się dzieje wola Boża. Staralem się tak żyć, żeby mię śmierć nie przestraszała. Jak śmiało zawsze patrzyłem w oczy ludziom, tak śmiało spojrzę na oblicze tój, co mię zaprowadzi przed sąd Boga. Nie jestem bez win, ale wierzę w nieskończone miłosierdzie Tego, co serce moje utworzył ułomném i grzechowi podległem. Jego łasce polecam moją duszę, jego opiece moich chłopców, których starałem się w bojaźni bożej wychować. Tu na ziemi, ty przyjacielu będziesz ich opiekunem i zastąpisz im moje miejsce, póki będą potrzebować rady i opieki.

Gdy proboszcz przyrzekł, że jak nad własnymi dziećmi czuwać nad niemi będzie, dodał pan Sebastyan:

— Każ księżę Macieju przywołać burmistrza i nauczyciela szkółki, podyktuję ci przy nich testament, którego sam napisać już nie mogę.

Gdy wezwani przybyli, pan Sebastyan podyktował ostatnie swe rozporządzenie w trzech punktach. W pierwszym zupełny zarząd majątku swego oddał proboszczowi, aż do pełnoletności Ignasia; w drugim bezwarunkową opiekę nad dziećmi swemi, z wyłączeniem wszelkiego wpły-

wu i mieszania się krewnych, tak jego, jak i żoninych, poruczył temuż proboszczowi, zostawiając to jego uznaniu, czy ma Eugeniusza zostawić w domu kasztelana, czy go ztamtąd odebrać i razem obu braci edukować w szkołach. W trzecim obowiązał również opiekuna, jak synów swych, gdy przyjdą do pełnoletności, aby panna Teresa miała do śmierci przytułek i schronienie pod ich dachem.

Gdy akt ten został podpisany, złożył go w ręce burmistrza, a ściskając dłonie proboszcza, dodał:

—Dziękuję ci księżu Macieju, za twoją przyjaźń. Bóg widzi, że nie sędzę się jej godnym i tym pokorniej wnoszę myśli do nieba, dziękując Stwórcy memu za tę łaskę, jaką mię na ziemi obdarzył. Prosiłem codziennie w pacierzu o miłość ludzką, i ta prośba widać, że nie była daremną, bo dosyć dla człowieka i w życiu i przy śmierci, aby jedno takie serce, jak twoje, było przy nim. Na jutro rano, jeżeli jeszcze jest czas, proszę cię księżu Macieju w innym charakterze. Zapomnij o tem, że przychodzisz do przyjaciela, a jako sędzia przychodź do czło-

wicka, który odkryje ci swoją duszę, abyś ją rozgrzeszył i umocnił. A teraz zostawcie mnie z sobą samym; obrachuję się ze swém życiem, abym był gotów do drogi.

Wszystko to wymówione było z pokojem i z mocą duszy, która do gruntu serca przenikała obecnych. Nazajutrz odbyła się spowiedź i przyjęcie świętych Sakramentów. Obrzęd ten uroczysty i zbawienny jeszcze bardziej uspokoił pana Sebastjana; a choć choroba postępowała niezmiernie szybko, zaduszenie się wzmagало, oddech stawał się coraz prędszym i trudniejszym, znosił on stan swój z dziwną mocą; mówił ile mógł, z taką przytomnością, że proboszcz nie mógł wstrzymać łez, widząc to chrześcijańskie poddanie się woli bożej i tę ufność człowieka, który w ostatnich chwilach dochował tę niezłomność charakteru, jaką miał w ciągu życia, i ani niecierpliwym jękiem nie zdradzał holu ciała, ani trwożném westchnieniem nie okazał zwątpienia i upadku ducha.

Zaraz po oświadczeniu lekarza, że choroba jest nieuleczoną, posłał proboszcz po Eugeniusza. Ale pan Błażej, który po niego jeździł, przy-

wiózł tylko list od księdza Augustyna, że kasztelanstwo z dziećmi wyjechali na zimę do Warszawy, gdzie chłopcy edukacją swą kontynuować będą, i zkaż Eugeniusz miał do ojca napisać. Był to cios bolesny dla pana Sebastjana, ale przyjął go z poddaniem się, i rzekł:

— Przeżegnałem drogę jego, gdy ztań wyjeżdżał. Widać, że to było natchnienie Boże. Czułem ja wtedy, że już drugiego chłopca mego nie obaczę więcej. Księżu Macieju! napisz mu, zem go błogosiławił umierając. Niech nie zapomni moich ostatnich przestroń, bo mu się przydać mogą.

Tego samego wieczora, pożegnawszy przyjaciół, pobłogosławiwszy Ignasia, oddał ducha Bogu pan Sebastjan. Człowiek rzadki ze swęj prawości i charakteru, surowszy dla siebie, jak dla drugich, niezłomny w swych zasadach, szanujący stan, w jakim się urodził, i bojący się zrobić mu ujmę albo cudzą krzywdę, albo cieniem jakiejbądź podłości.

Całe miasteczko szło ze czeią za skromną trumnę, za którą tuż postępowała panna Teresa, trzymając za rękę zanoszącego się od płaczu Ignasia. Złożono pana Sebastjana obok żony, i wkrótce

w cichym dworku jego, panna Teressa tylko krzątała się ze łzami w oczach, Ignas siedział w kąci i myślał co z sobą począć, a nad mogiłami jego rodziców lipy szumiały, jakby wyrażając powitanie się z sobą tych dwóch dusz, połączonych już na wieki i związanych tém mocniej siroctwem dzieci, które na ziemi zostawiły.

Proboszcz, objawszy zarząd domu nieboszczyka i jego interesów, ciągnął dalej gospodarstwo, jak zastał, i w dawniejszym utrzymywał je porządku. Nikt z krewnych mu nie przeszkadzał, gdyż oba bracia panny Teresy, wiedząc o szczupłości funduszu, który pan Sebastyan zostawił, i zmiarkowawszy, że z opieki nad tą pozostałością nie tylko się im nie okroi, ale może im tylko przybyć kłopotu dosyć, i zwali się na ich głowy ciężar edukacyi chłopców i utrzymania siostry, siedzieli oba cicho, jak gdyby o śmierci szwagra nie wiedzieli. Co widząc proboszcz i domyślając się, że zapewne z tego powodu żaden z nich niepokazuje się nawet w miasteczku, dla zaspokojenia ich, a może dla zawstydzania ich obojętności, doniósł im, że przed dwoma tygodniami pan Sebastyan umarł i opiekę nad pozostawionym majątkiem przejął proboszcz.

stałym majątkiem i dziećmi zostawił, z tém wyraźnym zastrzeżeniem, aby się do jego rozporządzeń tak co do funduszów, jak i dalszego kierunku synów jego nikt z krewnych nie mieszał.

Wtedy dopiero oba, wiedząc, że jest pora popisania się z sercem i ofiarowaniem usług i pomocy w tém przekonaniu, że gotowość ich przyjętą nie będzie i wszystko skończy się na słowach, rozpisali się z żalami swojemi nad stratą człowieka, którego wysoce poważali, oświadczając, że gotowiby byli zająć się i jego majątkiem i dziećmi, ale gdy z przykrością dowiadują się, że im nie ufał, muszą poprzestać na dobrej chęci, której nie tają przed nikim, aby ludzie sądzący zwykle z pozorów i chętnie wierzący złemu, nie myśleli, że w rzeczy samej zapomnieli, że biedne te sieroty są dziećmi ich rodzonej siostry, i że ich serce dla nich jest zamknięte.

Ksiądz Maciej gorzko się tylko uśmiechnął czytając oba te listy, które go prawie jednocześnie doszły, a ze stylu i z treści zmiarkował, że oba dyktował pan Piotr, który miał się i za pana i za polityka, a bezdietnemu bratu, sknérze o którego funduszach wielkie miał wyobrażenie, nad-

skakiwał, chociaż nie miał dla niego ani przywiązania, ani szacunku, narzucał mu się zawsze ze swemi radami, choć go ten o to nie prosił, i czuwał nad nim, jak tylko mógł najpilniej, aby się nie ożenił, zawsze w tej myśli, że jeżeli nie on sam, to dzieci jego będą spadkobiercami tych skarbów, które pan Marcin zbierał, dusił i przed okiem wszystkich jak najstaranniej chował. Nie zniszczył wszakże ksiądz Maciej tych listów, jakkolwiek o ich nieszczerości był przekonany, ale złożywszy je starannie, zamknął do swojej szufladki na dalszy czas, sądząc, że mu się mogą kiedyś przydać, jeżeli nie dla tej gotowości, którą w duszy miał za szczere kłamstwo, to dla zawstydzienia hipokrytów, jeżeli udawszy się do nich w jakiej potrzebie swych wychowañców, otrzymałby wykrętną odpowiedź, jaką był pewny, że otrzyma.

Napisał także ksiądz Maciej i do kasztelana, uwiadamiając go o śmierci przyjaciela i polecając Eugeniusza dalszej jego łasce i opiece. Wszakże dodał, że gdy testamentem pana Sebastjana naznaczonym został opiekunem małoletnich jego synów, z zupełnem prawem zarządzania dalszym

kierunkiem ich wychowania, prosi go tedy, aby mu raczył donieść jakie są jego intencye względem Eugeniusza, czy są z niego kontenci, czy nie będzie dla nich ciężarem, czy szczypty fundusz, jaki pozostał po ojcu, ma rozdzielić pomiędzy dwóch synów jego, czy użyć go na edukacyę tylko młodszego, co chociaż nie przyjdzie bez trudności, ale jako tako wystarczy.

Wkrótce odebrał ksiądz Maciej odpowiedź kasztelana, pełną serca i żalu o przedwczesnym i niespodziewanym zgonie krewnego, dla którego szczyty miał szacunek. Pan Kaźmierz oświadczył najprzód ogółowo, że oboje bardzo są kontenci z Eugeniusza, że całą jego dalszą edukacyę, zupełne utrzymanie i zajęcie się dalszym jego losem i umieszczeniem na świecie tak, aby mu było dobrze, biorą na siebie; dalej dodał, że już Eugeniusz wie o stracie, jaką poniósł, że jego żal i miłość jaką miał dla ojca, tém więcej ich ujęła; że żona jego, która polubiła go szczerze, sama o nieszczęściu tém go uwiadomiła i oznakami swego przywiązania stara się go pocieszać i żal jego utulić. List ten, który proboszcza uspokoił,

niezmiernie go oraz ucieszył, kończył się bowiem temi pochlebnemi słowy :

»Przekonany jestem, że nieboszczyk nie mógł w lepsze ręce oddać opieki nad dziećmi swemi, jak powierzając ją przyjacielowi takiemu, jakim WPan dobrodziej dla niego byłś. Nie wyjdzie mi nigdy z pamięci ta chwila, kiedym WPana dobrodzieja poznał i dowiedział się, po co do domu mego przybyłś. Powziąłem zaraz wysokie wyobrażenie o was obu; bo jeżeli bezinteresowne przywiązanie zawsze i wszędzie było rzeczą rzadką, tak, że w dziejach ludzkości policzyć można tych, którzy się tym sposobem kochali, że w każdym razie nieśli sobie wzajemną pomoc, to nigdzie nie jest rzeczą rzadszą jak u nas, gdzie interes jest sprężyną wszelkiego działania, wszelkich oznak przychylności, i kieruje niemal każdą przysługą, jaką jedni drugim oddajemy. WPan dobrodziej jesteś wyjątkiem z tego prawidła, z którego nie wyjmuję i siebie. Kto wie, czybym był oddał tę przysługę krewnemu, do jakiej mię gorliwość przyjacielska WPana dobrodzieja skłoniła, gdybym był nie miał tej myśli, że chłopczyk, którego do domu mego wezmę, i któremu

z moim synem edukować się pozwolę, temuż synowi memu arcy-pożytecznym się stanie. Ta interesowana z mojej strony gotowość byłaby dostateczną, abym się w nadziejach mych zawiódł. Ale Bóg łaskaw, i zapewne to czystość serca W Pana dobrodzieja sprawiła, że wszystko dotąd idzie jak najlepiej, że Eugeniuszek we wszystkim dobrem jest dla syna naszego wzorem, przykładem i zachętą. Dziękuję więc jeszcze raz W Panu dobrodziejowi za to, że go mam w domu moim, i powtarzam, com wyżej wyraził, i co jest postanowieniem również mojem, jak i mojej żony, że się dalszym losem jego zupełnie zajmiemy. Żebyśmy zaś choć w części zbliżył się w bezinteresownem zajęciu się i drugim synem ś. p. pana Sebastyana, posyłam tymczasowo 400 złotych reńskich, które mogą się przydać na ulokowanie go w Gimnazyum. Sądzę bowiem, że W Pan dobrodziej podzielasz w tej mierze moje przekonanie, iż to jest rzeczą konieczną. Już i dla tej przyczyny nie należałoby go zostawiać w domu i poprzestać na tej szczupłej nauce, jaką otrzymał w szkole powiatowej, że Eugeniusz będzie miał wychowanie bardzo staranne i takie same, jakie

synowi naszemu damy. Nierówność tedy wykształcenia w dwóch braciach może być szkodliwą ich braterskiej miłości. Nie pojmując się głowami, nie pojmą się i sercem, i to może ich dla siebie zobojętnić, i przyłączyć do tej niesłychanej u nas liczby krewnych, którzy się nie rozumieją i stają się dla siebie zupełnie obcemi. Choć i nie będę mógł być obecnym na radzie familijnej, którą WPan dobrodziej zbierzesz dla zachowania żądanych przez prawo formalności, proszę mię tam zamieścić, jako jej członka. Za przybyciem mojem do Zabuzza podpiszę protokół tej rady, a niniejszem upoważniam WPana dobrodzieja do działania na mojem miejscu, zatwierdzając z góry wszystko to, co postanowisz. Proszę mi donieść, co się zrobi z bratem Eugeniuszka, gdzie i w jakiej szkole umieszczonym zostanie. Powtarzając raz jeszcze zapewnienie najszczerszego szacunku, jaki mam dla osoby WPana dobrodzieja, mam honor i t. d.”

Skoro rada familijna, na której pan Piotr i pan Marcin Jelewscy szeroko i głośno rozwodzili się ze swym żalem, że im działać dla dobra dzieci niewolno, zatwierdziła głównym opiekunem księ-

dza Macieja, jak tego testament wymagał, zawołał on Ignasia do siebie i oznajmił mu, że za kilka dni odwiezie go do Lublina, do gimnazjum. Chłopak ucieszył się niezmiernie i ucałowawszy rękę księdza pobiegł do cioci, zwiastować jej tak dobrą nowinę. Gdy panna Teresa zaczęła mocno płakać i narzekać, że zostanie samą i opuszczo-
ną, Ignas pomyślał trochę i potem rzekł:

—Poczekaj-no ciociu! przychodzi mi dobry projekt. Pobiegnę zaraz do księdza proboszcza, i jeżeli się zgodzi, to i ty ciociu pojedziesz do Lublina i będziemy tam razem.

—Cóż ty masz za projekt?— zapytała kiwając głową panna Teresa.

—Doskonały ciociu!— odpowiedział czynny i praktyczny chłopczyk. Widziałem ja w Hrubieszowie, jak takim samym sposobem jeden mój kolega postąpił i udało mu się pomódz matce i z nią być razem. Musiał prawda przysiedzieć fałdów z trzema pierwszoklasistami, których matka przyjęła, i oprócz tego, że się sam uczył, i ich jeszcze uczyć; ale to nie wielka sztuka. Czy to ja jednemu korepetowałem i z drugiej i z trzeciej klasy! A swoich lekcyj nauczę się prędko,

czasu będzie dosyć, a ochotę będę miał zawsze, bo za to będę z tobą ciociu, i ty będziesz naszą gospodynią.

Panna Teresa uściskała go serdecznie, a proboszcz, któremu Ignas tego samego dnia plan swój rozwinął, pokiwał głową i rzekł:

— To, to, to! widzisz go, jaki mądry! ani wiesz jaki to ten Lublin, jaki tam porządek w szkołach, czy pozwolą takiemu jak ty smarkaczowi brać się do uczenia drugich, a już zaraz i projekt ma i gotów wykonywać, co pomyślał. Ale dobrze, żeś pomyślał przynieść ulgę ciotce własną pracą i sobie radzić— dodał ksiądz Maciej pogłaskawszy Ignasia— tylko że to widzisz, mój chłopcze, w każdym projekcie jest dwie rzeczy: myśl i jej wykonanie. W myśli wszystko jest łatwe, wszystko się uprzęta, co zawadza, wszystko zaś to co pomaga, zgartuje się i zbiera; bo w głowie, która coś ułożyła, są zaraz i środki na każdy przypadek. Ale jak przyjdzie do wykonania, oho! to już inna rzecz. Tam przeszkód bez liku, i każdą trzeba wprzódy poznać, zważyć i napocić się z nią, nim ją usuniesz; tam środków potrzeba wiele, a każdy po-

winien być taki, żeby wystarczył i sprawił żądany skutek.

— A cóż to wielkiego, proszę księdza proboszcza— rzekł czternastoletni przedsiębiorca. Jak Sakowski zrobił w Hrubieszowie, tak i ja zrobię. Najmiemy dwie stancye z kuchenką; w jednej będzie mieszkać ciocia, a w drugiej ja z trzema uczniami z pierwszej a choćby i z drugiej klasy. Potrafię ja im objaśnić każdą lekcję i nie polenię się pewnie.

— Na to potrzeba wiedzieć najprzód, czy ci pozwolą mieć trzech uczniów— rzekł proboszcz.

— Jak mnie przeegzaminują, to pozwolą— odpowiedział chłopczyk z determinacją. Michałowskiemu, który przeszłego roku zdał egzamen do piątej, pozwolili, chociaż w patencie Hrubieszowskim nie miał i połowy *celujących*, jakie ja mam.

— Dajmy, że pozwolą— mówił dalej proboszcz— zkadże wiesz, że zaraz będziesz miał tych trzech uczniów, co ci zapłacą? a stancję trzeba nająć, trzeba graty przewieść, trzeba żeby ciotka z kuchnią i służką pojechała, i wszyst-

ko to trzeba żywić z gotowego. A gdzież ta gotowizna? czy ją masz?

Ignas zamyślił się, potarł ręką czoło, potem rzekł:

—Wię ksiądz proboszcz, jak zrobić?

—No, jak?— zapytał stary, patrząc nań z uśmiechem.

—Folwarczek nasz puścić w dzierżawę, to i gotowizna będzie i ksiądz proboszcz będzie miał daleko mniej kłopotu z gospodarstwem.

—To, to, to!— zawołał proboszcz robiąc palcem zwykłą spiralną. Patrzaj! patrzaj! jak to jemu zaraz do głowy przychodzi dobra myśl. Ej! chłopcze! chłopcze! co z ciebie będzie. Dzierżawa! łatwo to powiedzieć. Już i ja o tém myślałem, i w rzeczy samej byłoby dla ciebie więcej gotowego grosza. Ale zkad tu wziąć dzierżawę. Myślisz, że tak tupnąć nogą, to zaraz jak grzyb wyjdzie z pod ziemi uczciwy i gospodarny człowiek, z gotowizną w kieszeni? Na to trzeba czasu i starania. Nie chciałbym lada komu oddać w ręce wasze dobro, żebym potem waszą krzywdę miał na sumieniu. Ale to się zrobi,

tylko poczekawszy, jak się co porządnego zdarzy. - A wtedy i dalsze twoje projekta względem przeniesienia się ciotki mogą przyjść do skutku, jeżeli masz chęć pracować i zawczasu myśleć o tém, abyś na świecie dał sobie radę własnymi siłami.

— O! że mam, to mam. Może ksiądz proboszcz być pewnym— odpowiedział czerwieniejący się Ignas, patrząc śmiało w oczy zacnemu kapłanowi.

— Jest to chęć szlachetna i pan Bóg ci pobłogosławi, a ojciec ucieszy się w grobie, że masz takie myśli, które go przez całe życie nie odstępowały— dodał proboszcz i sam wzruszony i patrzący z przywiązaniem na ładnego chłopczyka, z którego ócz na wspomnienie ojca łyły się potoczyły. Potém dodał. — Tymczasem pojedziesz sam. Ulokuję cię jak będę mógł najlepiej. Rozpatrz się, jak to tam rzeczy idą, obrachuj sobie dobrze, co będzie kosztować utrzymanie, kiedy i ciotkę i kilku chłopców jeszcze będziesz miał na głowie. A jak się dasz poznać z pilności i obyczajów, to ci i zwierzchnicy chętniej pozwolą

pomagać sobie własną pracą, i rodzice śmieliej oddadzą ci dzieci, jak im te dzieci powiedzą, że to najpierwszy uczeń z piątej klasy, z pierwszą nagrodą przeszedł do szóstej.

— Prawda— rzekł Ignas pomyślawszy— tak będzie najlepiej, jak ksiądz proboszcz mówi, tylko trzeba pierwszą nagrodę w piątej klasie dostać. Kto to wie. Nie święci garnki lepią. Może i mnie się uda.

— Jak Pan Bóg dopomoże i da zdrowie i chęć wytrzymała i niezłomną— dodał proboszcz.— Bez pomocy boskiej nie ma nic, i choćbyś był świętym, to garnka nie zlepisz. No, idź-że teraz i przygotuj się do spowiedzi. Jutro przede mszą czekać cię będę w konfessyonalu, a po mszy dam ci komunię świętą. Tak się umocnij chłopczyku w dobrych twych zamiarach, a z łaską Bożą udadzą ci się i wyjdiesz na ludzi.

— A kiedyż pojedziemy, księżu proboszczu?— zapytał Ignas całując go w rękę.

— Za trzy dni— odpowiedział proboszcz.

Ignas wrócił do panny Teresy, opowiedział jej całą swą rozmowę z księdzem Maciejem, u-

spokoił ją, że najdalej za rok będą razem, a tymczasem przyjedzie na Wielkanoc i na wakacje, i wziął się do zbadania swojego sumienia. Z początku przeszkadzały mu jego piękne projekta; wyobrażał sobie to miasto, do którego miał się udać, a którego nie znał, przyszłych swych zwierzchników i kolegów; myślał jak to on będzie gospodarzem domu, jak będzie odpowiedzialny za postęp i obyczaje uczniów, których mu powierzą, i po tej nitce rojeń, co go uniosły aż do tego poczucia własnej siły i możliwości stania się użytecznym sobie i drugim, przyszedł do przypomnienia ojca, którego duchowi sprawi to pociechę i radość, jeżeli duchy doznawać jej mogą. To wyobrażenie nie dawno obecnego, a dziś pod ziemią leżącego ojca rozrzewniło go tak, że upadł na kolana, zaczął się modlić i myślą przechodził wszystkie czynności, czy były takie, żeby je pochwalił ten, którego stratę opłakiwał. Tym sposobem przygotował się do spowiedzi, którą odbył ze skruchą, a przyjmawszy święty Sakrament, spokojny i pełen nadziei, wziął się do spakowania swoich rzeczy i książek.

Piątego dnia był już Ignas w Lublinie; naza-
jutrz po przybyciu swém zdał egzamen, a we
trzy tygodnie potem już wszyscy nauczyciele
klasy piątej znali Ignacego Zabuzskiego, który
na początku następnego miesiąca siedział już
pierwszym w pierwszej ławce, i jako znak swęj
godności prymusa, otrzymał w dozór dziennik
szkolny i miał sobie powierzona gąbkę i kręde.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



158

F

1546

1-2